

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 25 SIERPNIĄ 1928 ROKU

NR 35

TREŚĆ NUMERU: Nowy triumf sprawy kobiecej—*Natalja Jastrzębska*. Siostra potępionych—*Jadwiga Krawczyńska*. My i one—*M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Czarownica - podłotek“, „Czary“ — *Marja Pawlikowska*. Kochanek panny Ady—*A. Fag*. Bzik pani D'Estrailles—*Maurice Renard*—przełożył *Gabriel Karški*. Dusza kobiety — *Gina Lombroso*. Józef Marja Hoene-Wroński — *P. C. Z teatrów—S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. K., S. P. O. i H. S.* Czego najbardziej żałujemy starzejąc się — *W. N.* Wykształcenie zawodowe kobiet — *Zofja Miszewska*. Gołębie (dok.)—*W. D.* Skrzynki do owoców — *Stan. Schönfeld*. Współczesne gotowanie (c. d.)—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Wycieczki samochodowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy“ — *M. Beniśławska*. Arkusz wzorów.

## NOWY TRIUMF SPRAWY KOBIECEJ

Istnieją sprawy, o których, pomimo że są wielokrotnie i wszechstronnie omawiane, wie się zawsze mało i nigdy ich ogół dosyć głęboko nie odczuwa.

Jedną z tych spraw jest upośledzenie ekonomiczne kobiet pracujących.

Wołają wielkim głosem o zniesienie tej krzywdy stowarzyszenia i rady kobiece w Europie i w Ameryce. Wstąpiło śmiało na drogę równouprawnienia prawodawstwo polityczne większości krajów cywilizowanych, zakładając nowymi, powojennymi konstytucjami podwaliny pełnego równouprawnienia. Więcej jeszcze: normujący stosunki powojenne traktat Wersalski mówi w paragrafie 427, iż pracownikom o równych kwalifikacjach zawodowych należy się równa płaca, bez różnicy płci. Tak, wszystko to istnieje, a jednocześnie kobiety pracujące są wszędzie gorzej wynagradzane!

Jakkolwiek wydawałoby się to nieprawdopodobne, wiemy doskonale, że tak jest.

W urzędach państwowych, u nas np., posiadających w myśl konstytucji równą dla obu płci pragmatykę, i w wielu instytucjach prywatnych obchodzi się prawo, nie dopuszczając kobiet do wyższych stanowisk, lub dopuszczając je nad wyraz niechętnie, drogą wyjątku tylko. W całym zaś mnóstwie instytucji przemysłowych, handlowych, w rzemiosłach, warsztatach i t. p., bez żadnej już ceremonii płaci się kobietom mniej, niż mężczyznom o równych kwalifikacjach.

Dość powiedzieć, że w Ameryce, gdzie kobieta zajmuje w społeczeństwie stanowisko uprzywilejowane i gdzie kapitaliści pracodawcy zbyt wysoko cenią

wartość dobrze płatnego pracownika, aby szkodzić swym własnym interesom lichymi płacami, tam nawet kobiety są gorzej wynagradzane od mężczyzn.

Świeżo właśnie wszystkie związki kobiece podniosły tę sprawę na zjeździe Rady Narodowej kobiet amerykańskich, stwierdzając, że ta nierówność płac zachodzi u pracowników wszystkich warstw społecznych i wszystkich poziomów umysłowych; że np. dziewczęta, kończące studia uniwersyteckie, skarżą się, iż zmarnowały lata nauki, w pierwszej lepszej bowiem instytucji są niżej płatne od tych samych kolegów, z którymi zasiadały na ławie uniwersyteckiej.

A jednakże ogół kobiet ciągle mało jeszcze wie o tem, zbyt słabo się tem interesuje i nie reaguje na to dostatecznie.

Niezależnie materialnie kobiety traktują tę sprawę obojętnie. Ileż razy słyszymy od nich zdania w rodzaju: Przecież jest już wogóle równouprawnienie! Cóż więcej trzeba robić? zdobyliśmy już praw!—Te zaś, które ciężko walczą o byt, znają dobrze i czują swą krzywdę, ale nie mają ani sił, ani czasu i środków do skutecznego działania.

Świeżo teraz właśnie, na ostatniej Konferencji Pracy w Genewie, zaszedł fakt, wykazujący, że nierównomierna płaca obu płci wrosła tak głębokimi korzeniami w obyczaje, stosunki materialne i prawne większości państw świata, że trzeba będzie olbrzymich wysiłków, aby sprawę zrównania płac doprowadzić do pomyślnego końca.

I tu znów zasługa pierwszego, niezmiernie ważnego kroku, inicjatywy i wprowadzenia tej sprawy na



drogę realizacji prawodawczej, przypadła kobiecie polskiej, delegatce pracowników umysłowych polskich na Konferencję genewską, pani Eugenji Waśniewskiej.

W Nr. 25 „Bluszczu“, w artykule p. t. „Dola pracowników umysłowych” omówiłam historję powstania i znaczenie Międzynarodowej Konferencji Pracy i działalność p. Waśniewskiej na jej terenie.

W tym roku p. Waśniewska wyjechała znów do Genewy, poraz drugi wybrana, jako delegatka. Obdarzona ogromną energją, dużą dozą zdolności dyplomatycznych, orjentując się świetnie w zawiłych stosunkach międzynarodowych Konferencji, znalazła posłanka nasza sposobność nowego wystąpienia, tym razem w jednej z najważniejszych spraw kobiecych: w sprawie ekonomicznego równouprawnienia i, co więcej, pchnięcia tej sprawy na tory natychmiastowej, możliwej w danych warunkach, realizacji.

Na porządku dziennym tegorocznej, jedenastej Konferencji Pracy w Genewie, postawiona była sprawa zabezpieczenia minimum wynagrodzenia pracownikom tych przemysłów, które nie posiadają syndykatów zawodowych i umów zbiorowych. Są to przeważnie t. zw. chałupnicy, ale jest i wiele innych pracowników przemysłów przetwórczych, którzy, nie będąc chałupnikami, znajdują się w tem samym położeniu: — nie mają syndykatów i nie mogą nic poradzić na niesłuchanie niskie wynagrodzenia.

I cóż się okazuje? Oto na tle tych „głodowych” zarobków nawet, jeszcze specjalnie pokrzywdzone są kobiety! Pomimo równych kwalifikacji zawodowych, otrzymują niższe płace, niż mężczyźni.

Tę sprawę podjęła p. Waśniewska.

Gdy na plenum obrad Konferencji wprowadzono, przy poparciu delegatów rządów wszystkich państw, wniosek, ustalający minimum płac, zabrała głos nasza delegatka, stwierdzając, że mimo wyraźnego brzmienia 427 paragrafu Traktatu Wersalskiego, kobiety otrzymują stale niższe wynagrodzenie, i zgłaszając do wniosku swoją poprawkę, iż minimum płacy, tak zwany „salaire vital“, t. j. płaca, wystarczająca na życie, stosowana być winna bez różnicy płci.

Wniosek ten uzyskał na plenum gorącą aprobatę. Liczne stowarzyszenia kobiece, delegatki różnych krajów zwracały się do p. Waśniewskiej z wyrazami uznania za podjęcie tej sprawy na Konferencji, o czem nie

pomyślano dotychczas, pomimo tyloletniej już działalności tej instytucji. Gdy jednak zaczęto omawiać projekt p. W. na Komisji, okazało się, że rządy bardzo wielu krajów nie mogłyby ratyfikować takiej ustawy, gdyż absolutnie są do niej nieprzygotowane!! Do tego stopnia, że kobiety, delegatki rządowe, uznały, iż nie mogą jej popierać! Wobec tego trzeba było albo utrzymać swój wniosek i dopuścić do odrzucenia go, albo wybrać drogę pośrednią. P. Waśniewska uczyniła to ostatnie. Po długich obradach, podczas których najenergiczniej za wnioskiem polskim głosował p. Chaman Lall, hindus, delegat grupy robotniczej, posłanka nasza zgodziła się na umieszczenie swego wniosku w tak zwanej „rekomendacji“. Jest to dołączony do każdej ustawy rodzaj przepisów wykonawczych, nie obowiązujących poszczególnych państw tak ściśle, jak sama ustawa, niemniej jednak branych poważnie pod uwagę i wymagających również zdania sprawy z ich stosowania przed Ligą Narodów.

Treść wniosku p. Waśniewskiej, stanowiącego punkt b „rekomendacji” do ustawy o zabezpieczeniu płac minimalnych:

„Międzynarodowa Konferencja Pracy czuje się w obowiązku zwrócić uwagę rządów na zasadę równej płacy, bez różnicy płci, za pracę równej wartości, zasadę, uświęconą paragrafem 427 Traktatu Pokojowego”.

Jest to ogromny krok naprzód. Konferencja ma wśród państw wielką powagę i, ratyfikując ustawę, każdy rząd liczy się jednocześnie ze wskazaniami dołączonej do niej „rekomendacji“.

Sukces więc, który odniosła p. Waśniewska, jest podwójnym triumfem: sprawy kobiecej i powagi polskiej delegacji.

Należy tylko popierać sprawę dalej. Tu rozwija się właśnie pole działalności agitacji kobiecej. Jeżeli stowarzyszenia i związki zabiegać będą u rządów o wprowadzenie w życie zaleceń „rekomendacji“ ustawy o płacach minimalnych, jeżeli ogół kobiet dopominać się będzie stale i powszechnie o zrównanie płac—wprowadzenie wniosku p. Waśniewskiej do ustawy, obowiązującej już wszystkie państwa rygorem prawnym, może stać się faktem w najbliższej przyszłości.

Natalja Jastrzębska.





JADWIGA KRAWCZYŃSKA

## SIOSTRA POTEPIONYCH

(W stulecie urodzin Józefiny Butler)

U poetów romantycznych wielbioną postacią była legendarna Eloë, która czystą miłością umiłowała Szatana i, chcąc ulżyć jego okropnym losom, poleciała za nim w otchłań piekła...

Ona—dla niego! Siostra dla brata. Symbol poświęcenia niedaleko mija się z rzeczywistością.

Rzadziej, znacznie rzadziej przekracza bramę piekiel siostra dla siostry. Raczej drobną nóżką potrąci jakiś kamyk, aby „tamtej” lżej było lecieć wdół...

Sto lat temu, w 1828 r., w wiejskim dworze angielskim w Dilston (Northumberland) przyszła na świat Józefina-Elżbieta Grey. Pochodziła ze zdrowej rasy bojowników. Jeden z pradziadów szlacheckiej rodziny Grey'ów, niewiele scbie robiąc z rodzinnych kwasów, poślubił chłopską córkę. Żona Jana Grey'a wywodziła się zaś z protestanckich tkaczy, uchodźców z kontynentu po odwołaniu edyktu nantejskiego z końcem 17-go wieku. Silny charakter, w którym instynkt walki o ideę opierał się na podstawach dyscypliny religijnej i umysłowej, był niejako dziedziczny w rodzinie. Wychowanie zaś młodych Grey'ów, których było dziewięcioro — sześć córek i trzech synów—solidne i zdrowe, dało Józefinie możliwość rozwinięcia wrodzonych zalet.

Oczywiście, w owych czasach wykształcenie młodej dziewczyny polegało raczej na wpływach atmosfery rodzinnej i na dobrej, poważnej lekturze; Józefina ponadto zawdzięczała wiele ojcu, który musiał być człowiekiem nieprzeciętnie kulturalnym i brał czynny udział w życiu politycznym i społecznym.

Oto jak opowiada sama w swych pamiętnikach o swej młodości: „Żyjąc na wsi, zdala od jakiegokolwiek miasta i w epoce przedintelektualnej (o ile chodzi o kobiety), nie miałyśmy tych przywilejów, z jakich korzystają dziewczęta dzisiejsze. Lecz zawdzięczałyśmy bardzo wiele drogiej matce, która była nader stanowcza w wymaganiu, aby wszystko, co robiłyśmy, było zrobione starannie, a celem każdej nauki było osiągnięcie jaknajwiększej doskonałości w danym przedmiocie i to samodzielnie, bez niczyjej pomocy...

Nasz dom w Dilston był bardzo piękny. Jego romantyczne, historyczne wspomnienia, jego położenie dzikie i oryginalne, liczne, wesole grono rodzinne, miłe i gościnne usposobienie pana i pani domu, — stanowiły ponętę dla wielu przyjaciół i gości. W odwiedziny do nas przybywali szwedzi, rosjanie i francuzi, zwiedzający Anglię w celach studjów rolniczych lub innych. Niekiedy całymi tygodniami mieszkali u nas. Drzwi naszego domu były zawsze szeroko

otwarte na powitanie wszystkich, którzy wejść doń chcieli“.

Z tej sielanki przeniosło życie młodą Józefinę Grey w nowe zupełnie środowisko, gdy w r. 1852 zaślubiła Jerzego Butlera, profesora w Oxfordzie. Mąż Józefiny był człowiekiem wybitnego umysłu i szerokich horyzontów, to też wpływ jego na młodą kobietę był niezmiernie doniosły. Poznając świat i ludzi, profesorowa Butler wyrobiła sobie poglądy niezależne; umysł jej buntował się przeciw ówczesnym przesądom, i powoli rosło w niej przeświadczenie, iż życie jej własne będzie wypełnione wielkim jakimś posłannictwem. Nie widziała go jeszcze wyraźnie, lecz sercem i instynktem społecznym wiedziona, zwróciła się ku wydziedziczonym i nieszczęśliwym: dom jej stał się schroniskiem sierot, wykojeńców, ubogich wszelkiego rodzaju.

Aż pewnego razu z namowy męża przyjęła na służbę biedną „upadłą” dziewczynę z ulicy...

Współczucie Józefiny nie było banalnym frazesem i pogardliwą jałmużną. Zapłonęło w niej gorące serce, zdolne do protestu i walki. Na kobietę, którą świat napiętnował mianem „upadłej”, którą zwyczajne społeczne zepchnęły w błoto ulicy, a przepisy państwowe usankcjonowały krzywdę „białej niewolnicy”, skazując ją na rejestrację i dom publiczny — na tę kobietę spojrziała Józefina Butler, jak na siostrę wydziedziczoną, którą trzeba kochać i ratować miłością, by przywrócić jej godność i cześć.

A z drugiej strony wypowiedziała walkę tyranii praw, które pozwalały państwu ciągnąć zyski z koncesjonowanej prostytucji, wypowiedziała walkę zwyrodnieniu pojęć moralnych w społeczeństwach kulturalnych, które tolerowały potworny handel kobietami, sprzedaż i kupno żywego „człowieka-towaru“.

Walkę swą rozpoczęła Józefina od czynnego apostołstwa. Było jej ono pociechą w ciężkim smutku z powodu śmierci jedynej córeczki. Profesor Butler przeniósł się w tym czasie na uniwersytet w Liverpoolu, i w tym mieście portowym, o charakterze kosmopolitycznym, Józefina znalazła szerokie pole do działania.

Od roku 1865 datuje wyłączne jej poświęcenie się trudnemu, niewdzięcznemu i wówczas bojkotowanemu przez społeczeństwo dziełu ratowania upadłych. Młoda kobieta zstąpiła bez wahania w samą otchłań ulicy. Poznała straszliwe prawo, rządzące marginesem życia, „o którym się nie mówi“ — a przynajmniej nie mówiło jeszcze w owych czasach.

Im bardziej zbliżała się do nieszczęśliwych ofiar, tem wyraźniej widziała ich krzywdę, tem większe rosło w jej duszy współczucie siostrzane, tem mocniej



utwierdzała się w przekonaniu, że trzeba działać i że trud nie będzie udaremiony.

W owem cudownem posłannictwie miłości nie cofała się przed dotykaniami najstraszliwszych ran społecznych. Odwiedzała przytulki, domy nędzy, więzienia i szpitale Liverpoolu. Dotarła wszędzie tam, gdzie żyły i cierpiały „te kobiety.” Przeszła prosto na drugi brzeg życia.

Oto słowa jednej z biednych dziewczyn, którą Józefina nawróciła:

„Chciałabym powiedzieć pani, co poraz pierwszy zmiękczyło moje twarde serce, nieczułe na wszelkie upomnienia i kazania. Stało się to tego dnia, gdy pani przyszła do szpitala, stanęła przy mem łóżku, pogłaskała mię po włosach i pocałowała w czoło raz, i drugi, i trzeci. Nie odezwałam się do pani, lecz płakałam całą noc, myśląc: ach, gdyby raz mógł mnie ktoś kochać czystą miłością, zanim umrę!”

Pragnąc pracy swej nadać jaknajbardziej realne ramy, Józefina urządziła w swym domu rodzaj schroniska dla kobiet. Dzieło rozszerzało się; przyszli z pomocą przyjaciele, a przedewszystkiem profesor Butler, który wraz z żoną ufundował dom-Przystań, pozostającą pod osobistem kierownictwem Józefiny, aż do chwili, gdy zarząd miasta Liverpoolu przejął instytucję. Wypadki na arenie politycznej sprawiły, że Józefina Butler wzięła udział w akcji o prawa kobiety. Wraz z pierwszymi pionierkami, które domagały się od mężów stanu i od parlamentu dopuszczenia kobiet do wyższych studiów, prawa głosowania, równouprawnienia cywilnego i politycznego—Józefina szła w jednym szeregu, wykazując duży zmysł polityczny. Jednak działalność polityczna nietylko nie oderwała jej od rozpoczętej walki, lecz wzmocniła jej odwagę i wytrwałość.

Wielki „pochód krzyżowy”, jaki rozpoczęła Józefina poprzez Anglię i Europę północną i zachodnią, niosąc sztandary abolicjonizmu, jest jednym z niezwykłych zdarzeń w dziejach apostołstwa ludzkiego. Przemawiała, nawoływała, organizowała... Obrzucano

ją obelgami, kamienowano słowem i czynem. Wrogowie byli potężni, lecz miłość i wiara zwyciężyły. Głos Józefiny doszedł do serc i umysłów; pochód krzyżowy był coraz liczniejszy. Przyłączali się doń mężczyźni i kobiety, genjusze i szary tłum. W imię sprawiedliwości społecznej wołano o zniesienie prawa „białych niewolnic”, o wydanie walki bezecnemu handlowi ciałem i duszą kobiety.

W latach 1864—69 jeden po drugim kruszyły się mury starych twierdz: rząd angielski zniósł reglamentację prostytucji, zniesiono koncesjonowane domy publiczne, usunięto przepisy policyjne, gnębiące i piętnujące prostytutkę.

Powoli wprowadzono szereg urządzeń społecznych w duchu abolicjonistycznym, wydano walkę międzynarodowym handlarzom kobiet i dzieci, ułatwiono bezpłatne leczenie chorób wenerycznych, potworzono placówki opieki nad młodemi dziewczętami i kobietami, schroniska i zakłady pracy dla ofiar ulicy.

Na kontynencie postępy były wolniejsze, niemniej jednak nie było kulturalnego kraju, w którym bodaj garstka ludzi nie odpowiedziała na zew Józefiny Butler. Idea pogłębiała się. Powstała „Międzynarodowa Federacja abolicjonistyczna”, która w roku 1877 odbyła swój pierwszy kongres w Genewie... W Polsce rok 1900 był pierwszą społeczną manifestacją ruchu: powstało wówczas w Warszawie „Towarzystwo Abolicjonistów”, założone przez pp. Teodorę Męczkowską, Stanisława Posnera i dra Leona Wernica.

Oczywiście, od tego czasu sprawa posunęła się niezmiernie naprzód, lecz wymagałoby to obszerniejszego omówienia.

Józefina patrzyła sama na dojrzewanie swego dzieła. Mąż jej, współwyznawca idei, wierny towarzysz, przyjaciel i pomocnik w pracy, zmarł w 1890 roku. Józefina pozostała u steru, kierując międzynarodową akcją abolicjonizmu, dopóki pozwoliły jej na to siły i rozwijająca się ciężka choroba.

Zmarła w roku 1906.

M. H. SZPYRKÓWNA

## MY I ONE

Opowiadać dzisiaj komukolwiek — a zwłaszcza kobiecie — że budżet jej musi być dostosowany do zarobków, byłoby dzwonem w próżnię. Każda o tem świetnie wie. Ba! Każda nad tem zadużo się morduje, aby nie wiedzieć mogła! Owe sławne wiązanie końca z końcem, trudniejsze, niż węzeł najbardziej wzorowego angielskiego krawatu, aż nadto daje się nam, kobietom zarobkującym, we znaki, abyśmy nie miały pa-

miętać o tej smętnej umiejętności i nie ćwiczyć się w niej zawsze, z niesłabnącą nadzieją nadwyżki.

Z dziecińczych czasów pamiętam czytane nam przez dziadunia na głos pamiętniki Chodźki. Otóż między innymi, inny dziadunio z namaszczaniem wypowiadał tam owemuż autorowi, za jego znowu lat młodocianych, zbawienną maksymę, która brzmiała:



— Pamiętaj, przychodzie.

żyć z rozchodem w zgodzie!...

Nie zapamiętałabym jej jednak może na tak daleką metę, gdyby nie specjalne, świętobliwe uznanie, z jakim dziadunio, podnosząc palec do góry i patrząc z ponad okularów na nas, czy jesteśmy dość ważkością przejęci—to zdanie wygłaszał. Niedosć na tem: dodawał jeszcze za każdym razem szereg upomnień i komentarzy osobistych, które wykazywały dobitnie zbawcze skutki oszczędności, a zgubne — wydatków. I widocznie osiągał swoje, bośmy byli zawsze pod wrażeniem.

Nie wiem, czy z tego powodu, pod działaniem podświadomych analogij dziecinnych, czy też z innych: dość, że nieraz w życiu zastanawiam się nad sprawą budżetową u nas i myślę, że jest w niej jakiś niewykryty błąd. Niby oszczędzamy, niby odmawiamy sobie niejednego, niby i któraż z nas dziś wyrzuca pieniądze bez rachunku?... A jednak! Czy wiele z pośród nas, znowu wśród tych oto kobiet zarobkujących, do których należy zarówno publicystka, pisząca te słowa, jak panienska, nalepiająca adresy na rozsyłane numery: czy wiele z pośród nas jest takich, które — potrafią odłożyć? które mają swoją szczęśliwą książeczkę w P. K. O. i regularnie z każdego wpływu odliczają pewną ilość złotych na powiększenie zakłętej liczby zer?...

Mam wrażenie, że, abstrahując od innych, dalszych czynników ekonomicznych całego kraju, błądów jednak znam. Poznałam go, dzięki pobytowi w Ameryce—dzięki zestawieniu. I już dziś wiem, na czem polega. I bardzo proszę wszystkie kobiety, budżetem swoim same rządzące, aby to, co powiem, we własnym interesie rozważyły. Mianowicie:

Wydatki nasze są dlatego nieproporcjonalnie wielkie, że część zatrudnień dokoła swojej osoby, wykonywana przez nas własnoręcznie, jest nieproporcjonalnie mała, czyli innymi słowy: za dużo musimy płacić innym osobom za wykonywane dla nas prace, aby to nie miało przeciążyć naszych zarobków.

A mianowicie:

Rozważmy sobie główne punkta, wazące w naszym przeciętnym budżecie miejskim.

Mieszkanie.

Utrzymanie.

Pranie.

Służba.

Ubranie.

Fryzjer.

Manucure.

Salon kosmetyczny.

Krawcowa.

Obuwie.

Rozrywki. (Teatr, książka, kino i t. p.)

Przyjęcia.

Pomijam, naturalnie, rzeczy specjalne, jak nauka, sport i t. p. Otóż z wymienionych, niewątpliwie kilka rubryk wysunęło się na plan pierwszy z dawnego upośledzenia: rubryk wyglądu. Dziś trzeba wyglądać! Kto dziś nie wygląda, nie istnieje; trzeba go dopiero zrobić, żeby, jak mówią w Małopolsce, zaistniał. Fryzjer, manucure i kosmetyka nie są zbytek; są artykułem pierwszej—no! jednej z pierwszych potrzeb. Krawcowa musi dziś stanowić rubrykę, tak, jak i modystka; na to już poradzić dzisiaj się nie da! I oto budżet nasz tego wszystkiego wytrzymać nie może.

A teraz, niech każda z nas, kobiet samotnych i dziewcząt zarobkujących przypomni: wiele płaci za pranie, jeżeli nosi się kulturalnie? Co ją kosztuje chwytanie oczek w pończoszkach? Pranie rękawiczek? Podwiązki? Bielizna, którą lubiłaby mieć ładną? Czepeczki, drobnostki, liworyzowane chusteczki, krawaty, torebki i inne urocze gadanostki, które połykają złotówki, jak szczupak małe płociczki?...

Otóż amerykańka te wszystkie rzeczy umie załatwić dla siebie sama. Szyje swoją bieliznę nie gorzej, niż każdy magazyn. Kupi krepdeszyny, filetów, kwiatków, ażurów i ozdóbek; kupi gumy na podwiązki, kupi liworu i wzorów, kupi wstążeczek i przejrzy w najlepszych sklepach żurnale i modele. W czasach szkolnych przejdzie kurs kroju, szycia i porządków: upierze zwyczajnie i chemicznie, odczyści plamy i znakomicie się zna na kosmetyce. U siebie w domu, czy w pensjonacie, będzie miała w suterenie pralnię i tam dwa razy na tydzień sama, w ładnym gumowym fartuszkach na jedwabiach i w czepeczku, żeby się fryzura nie zdemolowała —przepierze swoją bieliznę osobistą: lilipucie combinaison'ki współpracujące z koronki i jedwabiu istotnie nie przeciążą nikogo wysiłkiem. Na codzień, by tak rzec, może sobie wystarczyć zupełnie sama: odświeżne toalety i drobiazgi dokupuje w miarę budżetu. I dlatego może się ubrać dużo rozrzutniej i rozmaiciej, niż my. Ma oszczędności!

Nie mówię już o tem, że służby nikt zarobkujący tam nie trzyma, chyba na godziny. U nas ustrój życia nie jest do tego dostosowany. Ale osobiste obrządki koło swojej toalety i wyglądu stanowczo połykają u nas za dużo. Zdemokratyzujmy się o parę szczebli! Uczmy córki kroju i szycia obowiązkowo, niezależnie od sfery i pieniędzy! Kupujmy modele, urządzajmy wykłady, czy komplety wiedzy praktycznej, kształćmy się, jednym słowem; ale róbmy coś! Zejdźmy z martwego punktu wiązania tylko końca z końcem: możemy zaoszczędzić trzecią część najmniej na rzeczach, zupełnie możliwych do zrobienia bez wydatku! Amerykanizujmy się w tem, co jest Polsce najpotrzebniejsze: w demokratyzmie pracy i dobrobycie państwa!



MARJA PAWLIKOWSKA

## CZAROWNICA-PODLOTEK

Usiądę, by zapłakać w najciemniejszym kącie.  
 Załamie ręce,  
 na twarz rzucę włosy lśniące,  
 — będę smutnem, samotnem, bezsilnem kółeczkiem,  
 wyrzuconem pisklęciem,  
 niekochanem dzieckiem,  
 — i żałośnie nad sobą  
 kiwać będę głową,  
 wyzymając pachnącą chusteczkę liljową.  
 Nie wytrzyma i przyjdzie.  
 Odejdzie i wróci.

Przyniesie kwiat piekielny,  
 na ręce mi rzuci  
 i, gładząc mnie po włosach, zaszepcze po chwili:  
 — Ach, dziecko mi zranili!  
 Dziecko mi skrzywdzili!  
 Potem usiądzie bliżej,  
 oczyska rozżarzy,  
 łzy moje będzie liczył,  
 płynące po twarzy,  
 i nagle się wydłuży, jak cień na suficie,  
 z sykiem: „O, poczekajcie!  
 — Wy mi zapłacicie!“

## CZARY

Musisz ulepić w sierpniu  
 Woskowego bałwanka,  
 Całować go co wieczór,  
 I całować co ranka,  
 I głaskać go po głowie,  
 I na piersi trzymać,  
 Mówiąc mu szeptem rzeczy,  
 Jakich w świecie niema;  
 I huścić go na rękę,  
 I kąpać go w winie,  
 I nadać mu kochane  
 I jedyne imię.  
 — A wszystko to dla kogo?  
 Wszystko to dlaczego?  
 Dla Niego,  
 Z którym trzeba  
 Iść na upartego.  
 By mu się wydawało  
 Od czasu do czasu,  
 Że go gonią motyle

Z różowego atlasu,  
 Że go coś zasypuje, całuje i durzy,  
 Jak deszcz płatków  
 Ogromnej,  
 Niewidzialnej róży;  
 I aby się opędał,  
 I aby się gniewał,  
 Że mu coś w sercu słodko,  
 niepotrzebnie śpiewa,  
 I by bładził bezradnie  
 Aleją jesienną,  
 Pod sklepieniami liści,  
 Malowanych henną,  
 I aby poczuł w sercu niebezpieczną handrę,  
 By, zapalając fajkę,  
 Ujrzał salamandrę,  
 Patrząc na ziemię — Gnoma,  
 W chmurach Sylfy nagie —  
 I wpadł prosto w drzwi twoje:  
 Wprost w Różową Magję!





A. F A G

## KOCHANEK PANNY ADY

I

Panna Ada przeszła przez pokój, niosąc w rękę piłkę w siatce, grabie i dwie dziecinne łopaty; wróciła raz jeszcze po kostjomy kąpielowe. Była 9-ta rano; chłopcy szli o tej porze do kąpieli.

Przedemną o dwakroki, zatopiony w kredowych ilustracjach sportowego czasopisma, Julek tkwił wygodnie w słomianych wkłęsłościach plecionego klubsesla. Twarzy jego nie widziałem. Miał niej spoglądała na mnie jaskrawa okładka dziennika. Był tam jakiś rysunek na tle golfu, boksu, czy tenisa; z poza tego unosił się dym szaremi tasiemkami: Jul widać kurzył swoją fajkę, która w jego pojęciu stanowiła konieczny sprzęt każdego solidnego sportsmena.

Panna Ada zamknęła właśnie za sobą drzwi, kiedy Jul niespodzianie gwałtownym ruchem cisnął dziennik na kamienną posadzkę werandy. Potem skończył na równe nogi; potem stanął przedemną.

— Ja ją zabiję—oświadczył zupełnie definitywnym tonem. Obrócił się ponownie. Przemierzył werandę aż do końca. Wrócił znów do swej słomianej wygody. Wyraźnie był wzburzony.

Domyślałem się potrosze, w czym tkwił sęk tej sprawy. Dla porządku jednak spytałem:

— Nie rozumiem, Jul! o co ci chodzi?

Wtedy Jul cisnął mi groźne spojrzenie:

— Jakto? Nie rozumiesz?! Ta kobieta mnie przesładuje, nie mam przez nią chwili spokoju! Włóczy się za mną swemi zakochanemi oczyma. Człowiek przyjechał odpocząć, popływać, popoflirtować, a tu tymczasem taka szkarada! Pierwsze dwa tygodnie lipca mam kategorycznie zepsute. Nie pozwolę, żeby to tak dalej było...

Patrzałem nań z niekłamanym współczuciem.

— No tak, przyzwalam, panna Ada nie należy do pięknych...

Jul bardzo stanowczo stuknął fajką o poręcz klubsesla:

— Z całym naciskiem proszę cię: bez żartów! To sobie dobre nawet: do pięknych nie należy...! Boże święty! przecież bywają panny do dzieci wcale niczego. A tu...!

— Tak—przytwierdzam,—zupełnie słusznie. Bywają panny do dzieci wcale niczego...

Lecz Jul ciągnął swoje.

— A tu! taka maszkar! i dlaczego to ja akurat mam u niej szczęście? Ty sobie nie wyobrażasz, jak mnie ta kobieta przesładuje! Niespodziewanie wszędzie wyrasta przedemną. Ma jakieś wszechwiedzące oczy.

...Wczoraj wieczorem Jul wrócił o 2-ej z... mniejsza z tem, skąd. Okna stołowego oświetlone. Czy ktoś przyjechał? Bynajmniej. To panna Ada czeka na niego z kolacją. Na stole flondry, bułki, masło i kawa. Przy stole — panna Ada. Zaczyna z nim rozmowę: o sporcie, o Dempsey'u, o Zuzannie Lenglen, o kinematografii, o filmach Able'a Gance'a, o Chaplinie. Potem dobranoc. Sama przyzwoitość dyktuje grzeczne pożegnanie. Panna Ada ma zakochane oczy. Tragedia!

...W morzu, kiedy czołkiem pruje fale, spotyka ją niespodzianie o 200 metrów od brzegu; jakimś tajemnym sposobem potrafi utrzymać się na powierzchni wody. Kiedy gra w tenisa, panna Ada zagląda przez drucianą siatkę i obserwuje przebieg setów. Kiedy wieczorem w parku znika... co tu gadać! ściga go, jak zmora. Ani chwili spokoju!

Mój przyjaciel Jul był to wspaniały chłop, wzrostu nieomal 180 centymetrów; na szerokich i równoległych do ziemi ramionach tkwiła głowa, okryta złocistym włosiem, która nie znała dotąd innych kłopotów, prócz egzaminu z pierwszych semestrów mechaniki i dobrego startu do stumetrówki. Było to oczywiście: historia z panną Adą stanowiła dlań wielką przykrość.

Zapytałem:—Właściwie, co cię to obchodzi?

— Mój drogi! — odpalił — ty nie wiesz, co baba potrafi! Niedosć, że lata za mną wszędzie, jakimś djabełnym sposobem tworzy pozory, że to ja jestem w niej zakochany. Rozumiesz: ja w niej zakochany! Za...ko...cha...ny...! Wczoraj Ziuta Strow rzuca mi zdumiona: — Czy to prawda, że się pan kocha w gwernantce swoich młodszych braci? — No, i co ty na to?

— W dobrem towarzystwie—finiszował Jul,—miłość takiej kobiety kompromituje... Czego ty, osłe jeden, nie możesz tego zrozumieć?! Jeśli tak dalej pójdzie, jestem zgubiony człowiek!

I, przerzuciwszy sobie płaszcz kąpielowy przez ramię, poszedł nad morze.

Muszę przyznać: był to wspaniały chłop. Miał wzrostu 180 centymetrów, a pod rękawami jedwabnej koszuli skupiała się co chwila twarda jędrność jego wypukłych bicepsów.

Nadchodził i dla mnie czas kąpieli.

II

Na plaży chłopcy budowali z piasku fortecę. Były tam wały, baszty, mosty zwodzone, rowy, woda wypełniona. I sztandar trzepotał na wietrze.



W koszu siedziała panna Ada z książką w ręku, lecz jej widocznie nie czytała. Powitała mnie wesoło:

— Jak to dobrze, że pan przychodzi. Pogadamy!

Panna Ada była brzydką kobietą. Bardzo brzydką. Nadmiernie chuda, o wąskich, kościstych kończynach, obdarzona kańciastymi ruchami, pozbawiona zupełnie płciowości. Twarz miała drobną, usta cienkie, piegi..., oczy w jakiejś niepokazanej oprawie, o rzadkich rzęsach. Było w niej coś śmiesznego, co zupełnie nie pozwalało traktować jej, jako kobiety... Włosy, skręcone w najdziwniejszy węzeł, nadawały całej postaci jakąś archaiczną cechę. Kto przez te wszystkie przeniknął głębie, znalazł niewątpliwie w tej kobiecie coś bardzo bolesnego i zboląłego. W niepewnym jej uśmiechu mógłby dostrzec nawet trochę kobiecości, subtelnej i wrażliwej. Ale, aby dojść do tego wszystkiego, trzeba było pracy i obserwacji, a przede wszystkim—chęci. Wstępne wrażenie działało inaczej!

Patrząc na pannę Adę, każdy zgóry wiedział: tej kobiety nie całował jeszcze mężczyzna. Ona i miłość—to dwa bieguny; synteza między nimi jest wprost niemożliwa!

I oto ciekawa rzecz: ulubionym tematem rozmów panny Ady z ludźmi, których darzyła swem zaufaniem (byli to nieliczni)—była miłość. Rozmowy o niej były jej namiętnością; książki, które czytała, były tylko jej poświęcone. Gawędząc ze mną, panna Ada potrafiła już po pięciominutowym wstępie przejść do właściwej rzeczy.

Usiadłem w koszu, wiedząc, na co się zanosi. Trzeba przyznać—rozmowy te nie sprawiały mi przykrości. Naodwrot. Lubiłem słuchać wcale mądrych słów panny Ady. Miałem jednak zwyczaj nie patrzeć na nią w czasie rozmowy, gdyż treść jej postaci i treść jej słów wywierały aż nazbyt kontrastowe wrażenie.

Oglądając ją z boku, skonstatowałem ze zdziwieniem krańcową jasność jej cery. Dookoła wszyscy szcycili się spalenizną. Ale panna Ada pozostała biała; żółte gwoździki gęstych piegów szpeciły jej twarz.

— Czy pan wie? — zapytała — czy pan już wie?

Powiedziałem jej, że nic nie wiem; prosiłem o wyjaśnienie; musiała jednak na chwilę przerwać. Bójka między chłopcami doszła w tym czasie do wysokiego napięcia i wymagała bezwzględnej, dorosłej interwencji.

Wróciła, zamknęła książkę i uśmiechnęła się głęboko.

— Jestem szczęśliwa!

Tem byłem zaskoczony, to brzmiało fantastycznie w tych ustach cienkich, niecałowanych. Czekałem.

— Nie pyta się pan „czem“?

Wyjaśniłem na migi:—Jestem dyskretny.

Wówczas jej małe serduszko samo potoczyło się ku szczerości. I powiedziała to jedno:—Miłość!

Przecież nie sposób powiedzieć kobiecie:—Miłość i ty?!... Dziwacznie!—Trzeba się zdobyć na uśmiech niewymuszony. Wytargowałem go jakoś na mych ustach.

Powoli sączyła swoją najdroższą tajemnicę:

— Nigdybym nie wierzyła, nigdy, że to taka cudowna rzecz! I nigdybym nie sądziła, że się z tem spotkam. A jeszcze w dodatku w tych warunkach...

Później częstowała mię już jednym zwierzeniem po drugim:

— Panu wierzę, panu wierzę—teroryzowała mnie wprost swem zaufaniem. Aż do końca musiałem wysłuchać tak dobrze skądinąd znanej historii ludzkich uniesień. Wszystko było tu stare, niewspółczesne, czasem komiczne; i wszystko było nowe, pełne przejęcia, przesiąknięte tragizmem.

Nie mówiła imion, nie wymieniała nazwisk.

— Więc nie wie pan, o kogo tu chodzi? — spytała tylko, szczerze zdumiona.

Odpowiedziałem, że nie wiem, choć powoli zaczynałem przenikać sens tej sprawy. Ona ciągnęła dalej, nawet nie schwyciwszy mojej odpowiedzi:

— I za co? — pytała — za co mi się to należy?! Przecież jestem brzydka, blada, anemiczna, wiem; i w dodatku: panna do dzieci, a jednak...

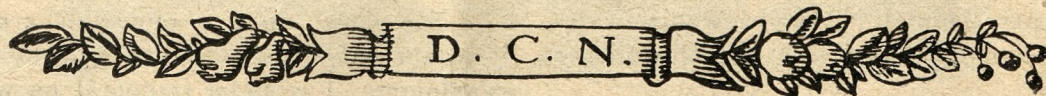
Obok w koszu czułem obecność jej kanciastego, mizernego ciała; skurczyłem się cały w obliczu słyszanych słów:

...On...przecież go rozrywają kobiety! I to wiem: jest niezbyt mądry, niezbyt głęboki, ale jest w nim to wszystko, czem się zdobywa kobietę. A jednak z tem wszystkim przyszedł do mnie, takiej mizeryty! Za co, za co tyle szczęścia?

— Doprawdy, nie wiem, o kim mowa—podkreśliłem moją, teraz już nieaktualną, ignorancję.

— Chciałam tego nie widzieć — mówiła obecnie już tylko do samej siebie—chciałam nie widzieć! Nie wierzyłam, nie ufałam. Ale później... tęsknota jego ściagała mnie wszędzie. Wiem, że o mnie myśli, że mnie pragnie.

Odchodziłem, grzęznąc w startym na miał nadmorskim piasku. Słońce piekło wspaniale, karmiąc wszystkich radością światła, gorąca. Alem tego nie widział. Byłem zahypnotyzowany, oczarowany tą najbardziej niepojętą i najtragiczniejszą z pośród sugestyj, jakie w swem życiu spotkałem.





MAURICE RENARD

## BZIK PANI D'ESTRAILLES

przełożył *Gabryel KarSKI*

List hrabiny de Dione do jednej ze swych przyjaciółek:

Versailles, 1 listopada 177...

Droga moja! muszę ci opowiedzieć o odbytej niedawno przezemnie osobliwej podróży do Maucroy, a raczej—opisać przygodę niejaką, która, jestem tego pewna, snadnie połaskota twą imaginację. Chyba, że nie byłabyś już moją Klotyldą z klasztoru, równie ciekawą figlików i umizgów dwornych, jak i łasą na historje sielankowe i tajemnicze; nie byłabyś tem, o czem listy twoje powiadają, że jesteś... Ale oto mówię o klasztorze, a to, co opowiem, właśnie tamte czasy ci przypomni, ile że heroiną mej opowieści jest nie kto inny, jak owa urocza Ludwika de Solce, która wstąpiła doń tego roku, gdyśmy go obydwie opuszczały, swywolna Ludwiczka, dziś księżna i marszałkowa d'Estrailles.

Niechaj-że pismo to, najżywszym gustom twym schlebiając, zyszcze mi przebaczenie za zbyt długie milczenie twej przyjaciółki!

Wszakże słyszę, jak wołas:

— A przygoda?

A owoż i przygoda.

Od święta Wniebowstąpienia niejedna z nas, na dworze królewskim, pozbawiona jest małżonka, albolu amanta; i ja sama w poczet pierwszych się zaliczam. Król Jegomość — dla ważnych racji, jakich się łącno możesz domniemać — rozkazał, by oficerowie jego udali się do swych oddziałów. Tak tedy p. de Dione wyruszył do Maucroy, gdzie stoją purpurowe dragony, a wyruszył temu dziesięć niedziel bezmała.

Miesiąc już upływał w onem tak srogiem dla serca mojego rozłączeniu, gdy na assambli w pokojach J. K. Mości pani d'Estrailles podeszła ku mnie i odprowadziła na stronę.

Zachowałaś o niej zapewne tylko pamięć dziecka aż nazbyt ładnego. Wiedz tedy, iż jej dwudziesta wiosna dotrzymała, z nawiązką nawet, obietnic wieku dziecięcego. Doprawdy, niemasz tu u nas ponętniejszej, a grzeczniejszej podwiki; to atoli jest już sprawą marszałka, który nielada śmiały uczynił był krok, biorąc ją — o zmierzchu swych sił — za żonę. Bogowie ukształtowali ją ku miłości, co też tryska z każdego szczegółu jej urody, z wdzięcznej postawy, z zachowania się i oraz z samego brzmienia głosu wyczuwać się daje, który ma w sobie jakoby przyprawę osobliwszą, mężczyzn ponoć wielce przyniewalającą.

Zważ niemniej przecie, iż dotychczas pani d'Estrailles nader umiarkowanie ulegała natury swej suplikom, tudzież przelicznych swych adoratorów atakom, acz

kawalerowie owi z wzmożoną jęli napierać gorliwością, odkąd marszałek wyjechał.

Biedna ślicznotka — której jestem potrosze konfidentką i którą, z miłości ku tobie, zdradzam niegodnie — rzekła mi bez ogródek, że takowy mniszy żywot uciska ją; że widzi, jako i ja w takimże jestem nastroju (niewiada mi, skąd jej się ona sprawa okazała); słowem, iż, jeżeli istotnie kocham swego małżonka, jak to głosiłam i jak ona swojego miłowała, trzebaż nam pospołu wyjechać, aby się z nimi połączyć. Takowym sposobem zaproponowała mi ową podróż do Maucroy, o której ci na wstępie tej epistoły wspominałam.

— Tandem marszałek — przerwiesz mi — znajdował się także w Maucroy?

Prawie, był tam, droga moja, a wraz z nim po ciot nasz de Chavurce, który służy, jako adjutant pod jego rozkazami, a którego młodzieńcze lata i wdzięczna postać łącno miłosne niecą pochopy...

Jakże ci to eksplikować? Pani d'Estrailles perswadowała tak żywo i wzruszająco, zasię ja sama, wyznajmy to, tak byłam niecierpliwa ujrzenia ogniów mych obiektu, iżemy zdecydowały wyruszyć do Maucroy, nie czekając małżonków naszych ku temu assentymentu.

Nielada-ć to wyprawa, jako że Maucroy od Wersalu o pięć dni drogi odległe. Przed się, następnego już ranka siedziałyśmy w toczącej się gościńcem kolasce — pani d'Estrailles, psotna jej suczka Mirza, tudzież służka Miłościwej Pani.

Zmilczę tu o postojach i noclegach. Jechałyśmy moją kolasą, cale wygodną (od angielszczyków sprowadzoną), służba moja arcy-sprawna. Aura była jaknajpiękniejsza. Drogę odbywałam, zgoła nie czując, by mi się dłużyła, tyle wesołości i dowcipu okazywała moja towarzyszką. Łście, imponujące jest, ile rzeczy wie ta niewiasta; a to, co wie, niczem jest w obliczu tego, co imaginuje. Uraczyła mię mnóstwem opowieści z mitologii, w której biegła jest extraordynaryjnie; opowiedziała mi historji łowieckich więcej, nizeli mógłby opowiedzieć stary dojeżdżacz, i improwizowała bez liku fraszek, a dykteryjek niepomiernie uciesznych. Ale to wszystko — legendy, a powiastki, a imprompta—o jednym traktowała: o miłości. Ludwiczka wciąż ma to słówko na ustach, a bożek snąc nie przestaje jej przesładować. Trwożę się myślą: dokąd ją to zawiedzie? boć z pewnością nie zdole dłużej kontentować się jedno staruchem - marszałkiem i gołowasem - Filipem de Chavurce... Widząc jej gorącość, załowałam serdecznie, że nie poślubiła raczej jakowego krzepkiej postawy, a pełnego wigoru, kawalera — zamiast tego pocziwi-



ny-marszałka. Ale nasza Ludwiczka jest taka łąsa na tytuły, że trudno ci imaginować. Dla niej trzeba co najmniej hrabi, by raczyła człeka dojrzeć. Księżna d'Estrailles — ten piękny tytuł i to szlachetne nazwisko — to minimum jej życzeń. Byłaby zdolna snadnie panować nad narody bez większego zdziwienia, aniżeli króluje nad sercami.

— A przygoda?

Wybacz-że mi! Zużyłabym pióro i zbrakłoby mi inkaustu, pisząc o Ludwice d'Estrailles.

Wszystko było bardzo pięknie, aż do piątego dnia, w którym miałyśmy dotrzeć już do celu. Noc spędziłyśmy były w Rouvres. Gdy rankiem znajdowałyśmy się w samym sercu lasu w Ligre, gdzie drogi są przepodłe, nagle kolasa pochyliła się nabok ze złowróżbnym hałasem. Było to pęknięcie koła.

Sukurs kołodzieja był nieodzowny. La Rive, zabrany przezemnie in qualitatæ kierownika wyprawy, oświadczył mi, że jesteśmy jeszcze o sześć mil zgóra od Maucroy, tudzież, że najbliższą wioską jest toż samo Rouvres, pozostałe za nami w odległości trzech mil. Kurjer był przy nas, nie miał bo już potrzeby zamawiania noclegów, a p. d'Estrailles chytrze radowała się mvsłą o niespodzianem przybyciu. Wysłano tedy onego człeka.

Najgorsze choćby suponując, nie mogłyśmy chybić noclegu w Maucroy, a to przecie było najważniejsze. Wszakoz, suponując i najlepsze, nie było mowy o wyjeździe wcześniejszym, niż na odwieczcz, owoż zasię daleko było jeszcze do południa. Naprostowana naprędcie kolasa ofiarowywała nam schron, ku któremu nie kwapiłyśmy się zgoła. Owszem: piękność pogody, wspaniałość okolicy, a ochota zażycia ruchu i odetchnięcia czystem powietrzem,—wszystko skłaniało nas ku przechadzce.

Jakoż poleciłam wiernemu La Rive, iżby na nasz powrót nagotował prowizję galaretek i suszonych fruktów, zaczem wyruszyłyśmy samowtór.

Wiesz dobrze, droga moja, co to las, co to jesień i ile ich skojarzenie sprawia emocji! A tamten bór wywarłby snadnie na tobie impresję ponad oczekiwaną. Usprawiedliwia on w pełni swą renomę. Majestaticzność jego jest niezrównana. Czujesz się tam w istnem królestwie: państwo to drzew a zwierząt, gdzie zasię człek—jedno przechodniem zrzadka przemyskającym.

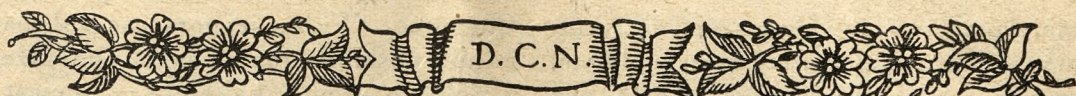
Drzewa były dokoła nas niby światem jakowymś potężnym i tajemnym. Co się zaś tyczy zwierząt — nigdy ich tyle nie widziałam i tak próżnych dzikości. Ptaki w mnogości wielkiej napełniały przestrzeń śpiewy rozlicznymi, a wdzięcznym świergoleniem. Tam i sam widne były gałazki, kolebiące się od ich obecności. Rudawe wiewiórki skakały niefrasobliwie z wierzcho-

ła na wierzchoł. Co chwila jakowaś bystra żreniczka, albo wielkie, czarne oczy pozierały ku nam ciekawie poprzez gąszcz; króliki, zajace, sarny przyglądały się intruzom; i widzi mi się, iż nie byłybyśmy ich zgoła inkomodowały, jeśliby nie Mirza, która, rada okazji, tu i owdzie psiej swojej pasji folgując, puszczala się w gonitwę, ujadając zawzięcie.

Niebawem z drogi zboczyłyśmy na ścieżkę, wijącą się śród gęstwiny. Stado dzików pierzchnęło przed nami z hałasem niemałym. Poskakująca w wysokich trawach Mirza zrejterowała śpiesznie ku nam ze stulonemi uszama i podwiniętym chwostem. Szarpnęłam się była zrazu wstecz, aliści pani d'Estrailles owszem pociągnęła mię poprzód. Była tym lasem zachwycona. Jej pogańska fantazja napełniała go dryadami i faunami; a nado w łowiectwie mistrzyni z niej wypróbowana (pamiętasz, że ją rodzic na koń posadził, nim ją jeszcze reweransów uczyć zaczęto), tak iż miejsce ono w jej oczach podwójną atrakcją było bogate. Podczas, wskazując mi osikę złocistym deszczem listków płaczącą, mówiła, że to Danae. I znów pochyłona nad ziemią, badała tropy zwierza, których misterjów moja nieświadomość bawiła ją pociesnie. Maszerowała, podana ku wiatrowi, węsząc rozliczne odory leśne, składając się z imaginowanej broni do zwierzyny, której mój wzrok nijakim sposobem nie mógł odkryć. Ostra, żywiczna woń upajała ją. Jeżeli okolica zdawała się przyrodzonym tłem dla jej krasy, pora była takoz, jakoby trafnie przybranem przystrojeniem. Z odkrytą głową, z Zefirem igrającym jej złotemi kędziory, rzekłbyś, iż oto nie kapelusz z głowy zdjęła, lecz półksiężyc...

Upał był srogi, słońce prażyło dotkliwie. Poczawszy pierwsze inwitacje apetytu, zdecydowałyśmy, że chwila była odpowiednia do powrotu. Przecięc wycieczka ona tak nam się widziała miła, iż poprzód postanowiłyśmy raczej uczynić interrupcję w głuchym zakęcie, ku któremu właśnie byłyśmy podeszły. Siadłyśmy tedy na niewielkim kopczyku i poddałyśmy się urokowi lasu.

Jest w poniekórych ogniach jesiennych coś rozmarzającego i, rzekłbyś, wiosenną febrą przejmującego. Zmarła odnowa przyrody ukazuje się jakoby widmo i równie potężna, jak krótko-trwała. Takieć było działanie owego pięknego dnia, drażniącego ciało przeczuciem burzy. Amor skłonny tu był puszczać sobie wodze. Łacno sobie wyobrazisz, jak żywo pani d'Estrailles odczuwała jego obecność... Ilez ujawniała gracji, leżąc pod powalą listowia, przeciągając się z rozkoszną niedbałością i tą swoją pozą pozwalając odgadywać agitujące ją sentymental





GINA LOMBROSO

5)

## DUSZA KOBIETY

KSIĘGA II.

ZAGADKI DUSZY KOBIECEJ

*Nie można mierzyć wina na łokcie, ani tkaniny na kwarty,  
a przecież czynimy coś podobnego, sądząc kobietę na wzór mę-  
czyzny, od którego jest różna.*

CZEŚĆ I.

O SPRZECZNOŚCIACH W DUSZY KOBIECEJ  
ORAZ O ICH PRZYCZYNACH

Pobudki wzruszeniowe, które nam każą szukać radości cudzej, zamiast własnej, są przyczyną wszelkich sprzeczności i powikłań w naszej duszy.

## O doniosłości wzruszeń i o powołaniu kobiety

Dawać radość, uśmierzać ból,—oto błaha,  
a zarazem nadludzkie zadanie wszystkich kobiet.

Jeżeli niełatwo jest kobiecie zrozumieć mężczyznę, to znacznie trudniej, nietylko mężczyznom, ale i nam, kobietom, zrozumieć same siebie: wieczne sprzeczności w naszych dążeniach, węzły, w jakie gmatwa się nam dusza,—zrozumieć powód, dla którego te same wypadki raz martwią nas, raz cieszą, a rzeczywistość występuje w świetle odmiennem, niż kazałyby przypuszczać rozsądek.

Znaczną część tych trudności złożyć trzeba na karb faktu, że i mężczyźni i kobiety tłumaczą sobie duszę kobiecą na wzór męskiej, od której jest odmienna. Nie można mierzyć wina na łokcie, ani tkaniny na kwarty, a coś podobnego czynimy, sądząc kobietę według tych sprawdzianów, co mężczyznę.

Dusza kobieca będzie dla nas nie do rozwiązania, jeżeli pominiemy alterocentryzm, który jest jej jądrem, a płynie z powołania macierzyńskiego, oraz rysy moralne i umysłowe, jakie to powołania za sobą pociąga, odmiennie od męskich, związanych z innym przeznaczeniem.

Kto pragnie dziecka, choć go nie może materjalnie i świadomie ulepić rękami, czy wymyślić mózgiem, a wie, że, wzamian za dane mu trudy i udręki, dozna od niego nowych udręk i trudów,—ten musi cierpieć i radować się inaczej, niż człowiek, który marzy o ujarzmieniu martwej, poddającej się świadomemu obrobieniu, materji i oczekuje od niej sławy, stanowiska, wyróżnienia.

Aby zadowolić męskie aspiracje, realne i dotykane, związane z życiem intelektualnem, trzeba zastanowienia, namysłu, logiki;—w uczuciach altruistycznych, naogół nieuchwytnych, wątpliwe, czy zbieżnych z mojemi interesami osobistemi, — rozum i refleksja nie na wiele mi się przydadzą.

\* \* \*

Skoro nie opieram się na rozumie, na czemże się oprę, jeśli nie na wzruszeniach?

Ich to nakazy i zakazy są wędzidłami, lub podnietami ruchu w świecie kobiecym. Doznania bolesne lub miłe, jakich przysparzamy innym—to zawiasy, na których obraca się nasze życie i rozumowanie, to pompy ssące, przez które ściągamy ze świata zewnętrznego potrzebną nam wiedzę i doświadczenie, oraz instrumenty, na których wygrywamy nasze „ja“ podmiotowe.

Kobieta uczy się, pracuje, bawi, szyje, idzie do teatru, na koncert, odczyt, na tenisa, na kazanie, aby „zrobić przyjemność“, dać się podziwiać, kochać, pokazać się, doznać, lub wzbudzać wzruszenia. Kazać się wspominać, opłakiwać, żałować, a więc jeszcze wywoływać wzruszenia — to ostatnie pragnienie kobiety, gdy umiera.

Wzruszeniami są wypadki zewnętrzne, najobojętniejsze dla mężczyzny: znajoma osoba, czytana książka, odczyt, którego słucha, muzeum, które zwiedza; wszystko budzi przyjemność, lub przykreść, nudzi, lub bawi, wywołuje zadowolenie, albo niesmak,—czy idzie o siebie, czy o innych.

Panna X studjuje medycynę—co za odwaga! Pan Y ma inteligentne dziecko—jak to miło! Ktoś tam inny podróżuje — ile wrażeń! Pani ta a ta śpiewa:—Co za rozkosz!—„Co za wzruszenie“ w jej ustach znaczy prawie tyle, co: „jaka przyjemność!“ Najukochańsze jej cele, najmilsze zawody: teatr, szkoła, macierzyństwo, gry, które najwięcej ją bawią, rauty, taniec, tenis,—to te, w których najwięcej doznaje i rozdaje wzruszeń.

Rozmowy między kobietami dotyczą prawie wyłącznie przeżytych cierpień i radości, bólów, które mogły ukoić, przyjemności, jakie wywołały, przyjaźni,—jednym słowem, wspólnych źródeł wzruszenia.

Węzły przyjaźni kobiecej nie wyrastają ze wspólnoty moralnej, czy intelektualnej, ale ze wzruszeniowej: z jednakowego reagowania na jeden i ten sam wypadek, co stanowi dla nas pewnego rodzaju pokrewieństwo.

Ta pierwsza zasadnicza różnica między płciami już, jako taka, uniedostępnia mężczyźnie duszę kobiecą, ponieważ drogi rozumu są stałe, równe i obliczalne—wzruszenie natomiast jest zmienne w swoich przyczynach i skutkach. Ale zagadnienie wikła się jeszcze, bo nie wszystkie wzruszenia są dla kobiety kierownicze w życiu, i nie na wszystkie jest wrażliwsza od



mężczyzny; tak się jednak dziwnie dzieje, że najmocniej opiera się ona na tych, które dla mężczyzny mają właśnie najmniejszą wagę.

**Znaczenie wzruszeń, dotyczących innej osoby.**

Wrażliwość, jako taka, indywidualnie reagowanie na przyjemność i przykrość, na ból, czy strach, jakich wszyscy doznajemy przed pewnymi postępkami, wrażenia, jakie uderzają nasze zmysły, mózg, czy serce,—nie grają większej roli u kobiet, niż u mężczyzn.

Wszystkim sprawia przyjemność smaczny owoc, boska muzyka, wspaniały widok, osiągnięty cel, wszyscy jednakowo czujemy smutek wobec niepokonanej trudności, niepokój z powodu choroby, czy grożącej nam śmierci, i wszyscy odpowiednio obmyślamy swoje postęпки. Mężczyzna nawet widoki, słodycz owocu, odkrycia — jako działające bezpośrednio — odczuwa silniej i bardziej się z niemi liczy, aniżeli kobieta.

To, co różni kobietę od mężczyzny, to jej większa wrażliwość na wzruszenia specjalne, które nazwałabym alterocentrycznymi, ponieważ przychodzą do nas od innych, i innych czynimy ich ośrodkami.

Nikt nie twierdzi, aby mężczyzna był nieczuły na cudze przeżycia i nie reagował na nie czynem; tylko w nim ten rodzaj wzruszeń przytłumiony jest przez wzruszenia egocentryczne, gdy przeciwnie, w kobiecie egocentryczne cichną wobec przewagi altruistycznych.

Wyjaśnię to na przykładzie nader jaskrawym, który dobitnie maluje sprawę.

Mężczyzna i kobieta czują dotkliwy głód, razem obojgu ściska się serce na widok głodnego dziecka; ale gdy mężczyźnie własne uczucie głodu każe zapomnieć o dziecku, a zadowolenie, jeśli głód zaspokoił, będzie większe, niż gdyby nakarmił dziecko, to z kobietą w obu wypadkach rzecz się ma zupełnie naodwrot.

Głód dziecka dolega jej bardziej, niż własny; gdy je nasyci, milej jej, niż gdyby jadła sama, choroba dziecka dręczy ją bardziej, niż jej własna, a jego wyleczenie cieszy więcej, niż własny powrót do zdrowia. Jednym słowem — cudze przeżycia odczuwa ona silniej, niż swoje.

Dawanie przyjemności co dnia, co godziny jest podstawą radości macierzyństwa, która, zwłaszcza póki dziecko jest małe, znajduje karm swą ustawicznie. Uszczuplenie pod tym względem wyczuwa kobieta, jako krzywdę, choćby za to, co daje, nie doznawała wzajemności; pomyślmy np., jak bolesne jest dla matki oddać dziecko mamce, chociaż to ją pozbawia kłopotów, a nie radości. Ta właśnie wewnętrzna busola życiowa odróżnia kobietę od mężczyzny.

\* \* \*

Olbrzymia waga, jaką mają dla nas wzruszenia alterocentryczne, jest nierozłączna z macierzyństwem.

Aby wychować dziecko, zrodzone z ciebie, lecz nie urobione przez ciebie materialnie, mające własne potrzeby i dążenia, różne od twoich, ale o które dbać musisz; aby wychować dziecko, które jest materją ożywioną, zatem czuje i cierpi, może umrzeć, tak jak się urodziło, a jego uciechy, bóle i życie zależą w znacznej mierze od twoich starań i miłości, — nie wystarcza zwykle wzruszenie, zmysłowe, czy mózgowe, dostateczne dla odkrycia naukowego, lub do szczęśliwego życia. Gorzej jeszcze: nietylko nie wystarcza, ale, jako samolubne — zawadza.

Aby wychować dziecko i wyprowadzić w życie, należy pierwiastki mózgowe pokonać przez miłość. Kobieta musi zapomnieć o sobie, o wszystkim, co w niej jest osobiste, a zatracić się w dziecku; czuć za nie więcej, niż za siebie, roztopić egocentryzm w alterocentryzmie.

(d. c. n.)

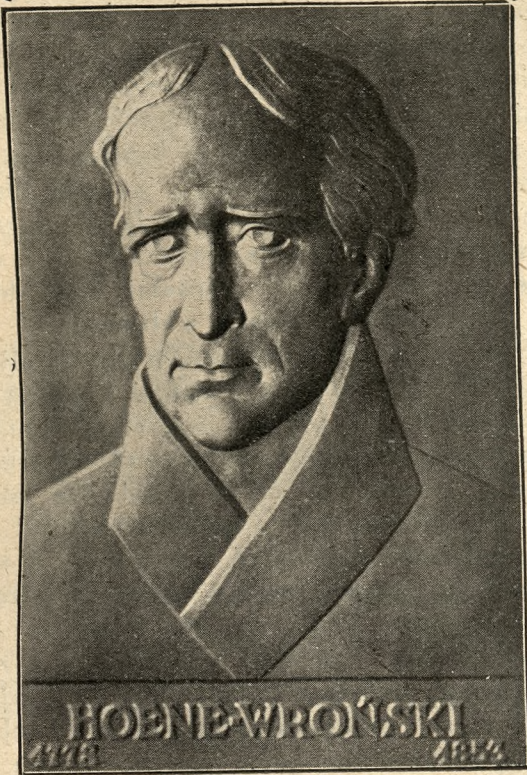
## JÓZEF MARJA HOENE-WROŃSKI

(1778-1853)

W roku i miesiącu bieżącym przypada 150-ta rocznica urodzin (24 sierpnia) i 75-ta rocznica zgonu (9 sierpnia) wielkiego oświeciciela ludzkości, naszego rodaka, Hoene-Wrońskiego. Jeżeli na kim, to na H.-Wrońskim sprawdza się zdanie Bakona: „Ludzie za drugorzędne cnoty chwala, dla wyższych mają podziw, dla najwyższych — nic“. H.-Wrońskiego, twórcę filozofji absolutnej, czyli mesjanizmu, odkrywcę Prawa Stworzenia, tego prawa, przez które wszystko zradza się i istnieje we wszechświecie — za życia niemal ignorowano. Lecz czas — to doskonały korektor, bowiem

z jego postępkami postępuje rozwój świadomości ludzkiej, a z nią doskonalsza ocena ludzi. Zainteresowanie się doktryną H.-Wrońskiego wzmagają się coraz bardziej. We wszystkich językach europejskich opracowywano i rozwijano jego matematyczne pomysły; świeżo powstała obszerna literatura w języku francuskim w dziedzinie filozofji muzyki Wrońskiego (Durutte, Ch. Henry, Warram, Britt). Gounod, słynny kompozytor Fausta, uwielbia go, praca Britta została przetłumaczona na języki niemiecki i angielski, przyczem niemieckiego przekładu dokonał znakomity muzyko-





log i dyrygent Weingartner. W zakresie czystej filozofji—Cerfils pisze książkę, dającą ogólny zarys nauki Wrońskiego i oświetlającą przeważnie religijną stronę doktryny; Warram w r. 1926 ogłosił piękne i głębokie dzieło o Prawie Stworzenia, gdzie wykazuje, że H.-Wr. toruje nowe drogi postępom myśli\*), zaś w tych dniach pracę: „Quantité, Infini, Continu“, w Paryżu, u Aleana, gdzie powołuje się znowuż na wspomniane Prawo.

U nas rzecz ma się inaczej. Matematyką H.-Wr. zajmowano się mało, natomiast filozoficzna część doktryny niemal odrazu zdobyła uznanie naszych myślicieli: Bukaty poczytuje H.-Wr. za największego genjusza; Trentowski powiada o H.-Wr.: „genjusz ten—coś nadziemskiego, co daje uczuć żywe pokrewieństwo ludzi z Bogiem; Libelt uważa systemat H. Wr. za „nader płodny nasiennik filozoficznego ducha, który ma się w Słowiańszczyźnie rozwinąć“; Tyszyński twierdzi, że tylko filozofja H.-Wr. zdoła rozwiązać kryzys chwili dzisiejszej; Cieszkowski, którego poglądy filozoficzne często zbiegają się z poglądami H.-Wr. czynił zabiegi (niestety, bezskuteczne) przed Akademią Umiejętności w Krakowie o wydanie dzieł H.-Wr., Atoli do ostatnich czasów mało było zrobione w Polsce dla ugruntowania i rozszerzenia doktryny H.-Wr. i M. Straszewski słusznie mógł zapytać: „Kto Wrońskiego u nas zna i jak należy oceniać?“

H.-Wroński urodził się w Poznaniu, czy jego okolicach 24 sierpnia 1778 r. Ojciec jego Antoni, architekt w Poznaniu, był czeskiego pochodzenia. W r. 1794,

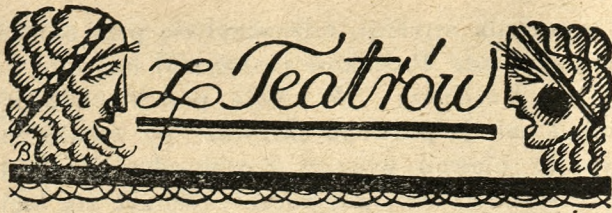
jako porucznik artylerji, odznaczył się przy oblężeniu Warszawy przez Prusaków i otrzymał nagrodę narodową od Kościuszki. W bitwie pod Maciejowicami dowodził baterją prawego skrzydła; po bitwie został wzięty do niewoli wraz z Kościuszką. Wstąpił do armji rosyjskiej, lecz, gdy poczęły tworzyć się legjony polskie we Włoszech, wystąpił ze służby rosyjskiej, by udać się do Francji. W r. 1797 opuścił Polskę, której już nie zobaczył nigdy potem. Przejeżdżając przez Niemcy, zatrzymuje się w tym kraju filozofów, studjuje prawo i filozofję; przybywa do Francji na początku 1800 r. i oddaje się do dyspozycji Kościuszki i Dąbrowskiego. Wstępuje do legjonów w Marsylji; ponieważ legjon był bezczynny, sporo czasu udziela pracy naukowej; w r. 1800 ogłasza swą pierwszą pracę („Le Bombardier polonais“), w r. 1801 następną—z dziedziny astronomji. Czując w sobie powołanie naukowe, prosi o zwolnienie z legjonów, by mógł oddać się nauce i filozofji dla dobra ludzkości i ojczyzny. Kościuszko, odgadując prawdziwe powołanie H.-Wr., powiedział: „Nauka świeci jaśniej od błyskawicy, a bije silniej od gromu“. W Marsylji przebywa jeszcze do r. 1810; wstępuje tu w związek małżeński z markizą Wiktorją Sarrazin de Montferrier, poetką i literatką, która staje się wierną towarzyszką jego życia i propagatorką jego idei. W r. 1810 przenosi się do Paryża i przedstawia Akademji swoją rozprawę matematyczną; rozprawa ta spotyka się z uznaniem, lecz nie zostaje należycie oceniona. Stąd wywiązuje się zatarg z Akademią, który z biegiem czasu się pogłębia. H.-Wr. pracuje w odosobnieniu przez całe życie; w ciągu 53 lat wydaje szereg prac z dziedziny filozofji i matematyki, czystej i stosowanej (Katalog prac wydanych i niewydanych podaje S. Dickstein w swej książce: „H.-Wroński, jego życie i prace“, 1896). Zmarł w zupełnej nędzy 9 sierpnia 1853 r. Kilka dni przed śmiercią, w przeczuciu bliskiego końca, zawołał: „Boże Wszechmocny! ja miałem tyle jeszcze do powiedzenia“.—Został pochowany 11 sierpnia na cmentarzu w Neuilly. Pogrzeb odbył się kosztem ks. Czartoryskiego, przybyłego w przeddzień śmierci, by pożegnać się z człowiekiem, który stanie się „chlubą Polski“, jak wyraża się francuski biograf Augé.

Skromny pomnik nad mogiłą mędrca wznosił szlachetny Kamil hr. Durutte, gorliwy uczeń, znany muzykolog. Później Gounod kazał wyryć na kamieniu pomnikowym słowa, wyjęte z Izajasza: „Erit sepulchrum ejus gloriosum“, które w przekładzie znaczą: Grób jego stanie się chwały pełnym. P. C.

\*) Dzieło to już wyszło w przekładzie polskim p. t. „Wiązanie metafizyczne, sporządzone według Prawa Stworzenia H.-Wrońskiego“, nakładem Arcta.







TEATR NARODOWY:

„Pan Brotonneau“, komedia w 3 aktach *de Flersa i Caillaveta*.

Francja ma u nas dotychczas opinię kraju o obyczajach bardzo rozluźnionych i poglądach nawskroś wolnomyślnych. Jest to jedno z tych nieporozumień, które puściły korzenie tak głęboko, że niepodobna ich wykarzcować, nie obalając w pojęciu przeciętnego ogółu tego wyobrażeniowego pnia całości, której na imię Francja. A jednak... okazuje się niemal na każdym kroku, że dzielna Marjanna ma dwa oblicza: jedno—reprezentacyjne, płocze i zalotne—na eksport, drugie—solidne, świętoszkowate, filisterskie—na użytek krajowy. Dla *étrangerów* są nagości w music hallach i wyuzdane tańce w nocnych kabaretach Montmartru. Dla domu, na codzień, jest czarna włóczkowa pelerynka, przydeptane pantofle i przydeptana moralność konsierżki, zaglądnąca przez dziurkę od klucza do alkowy sąsiadów.

Komedja Caillaveta i de Flersa pokazuje na przykładzie dość jaskrawym, przybierającym chwilami koloryt farsowy, jak wygląda człowiek istotnie moralny, prawy i rozczulająco dobry, dobry aż do dziecięcej naiwności w szponach uświęconej wiekowymi tradycjami hipokryzji.

Pan Brotonneau, kasjer wielkiego banku, zdradzony przez żonę-sekutenicę i histeryczkę z podwładnym mu urzędnikiem, jest przedmiotem ogólnego pośmiewiska, jako rogacz. Sytuacja tak częsta, że nikt się jej nie dziwi; poczciwi ludziska raczej cieszą się nią, niż gorszą. Pan Brotonneau sprowadza sobie do domu kochankę; rzecz całkiem naturalna,—niechże się biedny człeczyna po stracie żony pocieszy. I rozwija się w naszych oczach sielanka tych dwojga: mola bankowego, z którego bilanse i wykazy nie zdołały wysać doreszty tęsknoty za szczęściem osobistem, i młodej, nieśmiałej, nikomu niepotrzebnej urzędniczki, dla której pan Brotonneau jest wcieleniem wszystkich cnót i doskonałości. Jest im zbyt dobrze razem, aby tej harmoniji nie zamącił jakiś zgrzyt z zewnątrz.

Z jasnego nieba pada grom: pani Brotonneau wraca, opuszczona przez kochankę. Co począć z tym fantem? Pan Brotonneau nie przyjmie jej z powrotem do domu i do serca, w którym niepodzielnie króluje łagodna i oddana mu Ludwika. Ale niepodobna odmówić opieki i gościnności kobiecie, która nosi jego nazwisko i jest nieszczęśliwa. I pan Brotonneau, powodowany wrodzoną zacnością serca i brakiem poczucia rzeczywistości, tak naturalnem u człowieka,

który całe życie miał do czynienia z abstraktem, z cyframi,—pozwala zamieszkać pani Brotonneau w tej samej dzielnicy i dwa razy na tydzień zaprasza ją na śniadanie. A po czarnej kawie obie panie Brotonneau,—dawna i nowa—robią szydełkowe kwadraty do serwetki, która ma stanowić imieninowy podarek dla pana Brotonneau. Poczciwina nie posiada się z radości. Jak to się wszystko świetnie ułożyło! Pozostał wierny Ludwice, a nie skrzywdził pierwszej żony. Idealne wyjście bez rozwodu z trójkąta małżeńskiego!

Ale świat inaczej patrzy na tę sprawę. Mieć żonę i kochankę jednocześnie—zgodą! Bywać z żoną, kochankę trzymać w ukryciu—wszystko w porządku! Żonę trzymać w ukryciu, pokazywać się wszędzie z kochanką,—to ostatni wyraz szyku! Ale tak żyć, jak żyje pan Brotonneau, to poprostu skandal! Przełożeni, przyjaciele, podwładni, wszyscy mu to mówią. Grozi mu utrata posady, ogólny bojkot i opuszczenie. I pan Brotonneau łamie się pod ciężarem opinji. Nie ma siły iść sam przeciw wszystkim, sam z ukochaną Ludwiką. Biedna urzędniczka odchodzi na zawsze, a na jej miejsce, z symboliczną niemal starą marynarką, wkracza triumfalnie pani Brotonneau. Zgnębiony małżonek stawia jej jeden warunek:

— Niech święte imię Ludwiki nigdy tu nie będzie wspominane! Zresztą wszystko może być, jak dawniej...

Wszystko będzie, jak dawniej... Na przedsmak piekła domowego pani Brotonneau nie daje nam długo czekać.

Komedja jest doskonale zrobiona, ale ma piętno przedwojenne. I to się daje odczuć w pewnem osłabieniu rezonansu uczuciowego na widowni. Wojna wprowadziła przewrót nietyle w obyczajach, co w postawie ogółu wobec pewnych form współżycia. O czym się dawniej mówiło szeptem i na ucho, o tem się teraz mówi głośno. Moralność na takim stanie rzeczy nie poniosła uszczerbku, zato dużo straciła hipokryzja, uszczupliło się żerowisko plotkarek,

Dzisiaj już nikt pana Brotonneau nie nazywałby „mężem o dwóch żonach“. Przed wojną, gdyby ten zacny człowiek miał więcej sprytu, zamiast tragicznej „zmiany dam“ w małżeńskim kontredansie, wprowadziłby krotochwilną „zmiannę miejsc.“ Pani Brotonneau użerałaby się w domu z Janową i zatrzymałaby po dawnemu atmosferę domowego ogniska,—słodką Ludwika powędrowałaby o dwa piętra wyżej i w zacisznym gniazdku umilałaby panu Brotonneau godziny wolne od zajęć. Tak dzieje się w świecie komunałów etycznych. Ale pan Brotonneau, choć wyrosły w kulturze „podwójnej buchalterji“, na taką „podwójną moralność“ zgodzić się nie mógł.

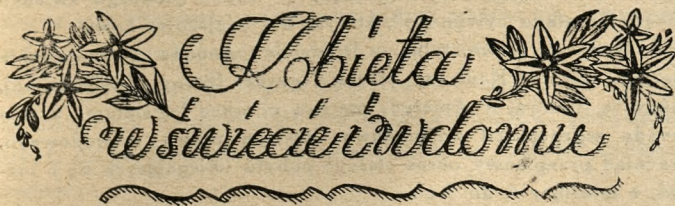
Świetna gra Jaracza podniosła tę postać do godności tragizmu. Czy leżało to w intencjach autorów? Mniejsza o to. Sugestia wielkiego talentu ma siłę dyktatorską. Dzisiaj nie możemy wyobrazić sobie pana Brotonneau bez skóry Jaracza. To dosyć.



Partnerka znakomitego artysty, młoda debiutantka p. Marzewska, miała chwilami akcenty wzruszające. Była prosta i szczerą. Stary urzędnik Zielińskiego był żywym człowiekiem, wprost od biurka zabłąkanym na scenę. Pozostałe role, mniej lub więcej szczęśliwie obsadzone, stanowiły dobre tło dla psychicznej historii głównego bohatera.

Całość wystawiona bez zarzutu.

S. P. O.



### SANITARNO-HIGJENICZNE WYSZKOLENIE LEKARZY

We wrześniu roku bieżącego Państwowa Szkoła Higjeny (Chocimska 24) rozpoczyna trzeci kurs Higjeny Publicznej dla lekarzy—kandydatów do państwowej i samorządowej Służby Zdrowia. Kurs trwać będzie dziewięć miesięcy.

### WIELKI PROJEKT OPIEKI NAD MACIERZYŃSTWEM I DZIEĆMI

Konstytucja polska w artykule 103 zawiera zapowiedź, iż „osobne ustawy unormują opiekę nad macierzyństwem”. Częściowo zadanie to poruszyła już ustawa o opiece społecznej i szereg dekretów urzędowych i rozporządzeń ministerjalnych, dopiero jednak obecnie, po 7-miu przeszło latach od wydania Konstytucji, ma być wniesiona do Sejmu specjalna ustawa, poświęcona opiece społecznej nad macierzyństwem i nad nieletnimi.

Projekt tej ustawy jest już gotowy, jako dzieło ministerstwa pracy i opieki społecznej. Można w nim rozróżnić dwie części: sprawę opieki nad macierzyństwem (kobietą ciężarną, rodzącą, położnicą i matką karmiącą), oraz sprawę opieki nad dziećmi, od niemowlęstwa, aż do 17 roku życia.

Przewodnią myślą ustawy jest dążenie do stworzenia takich warunków, które mogłyby zabezpieczyć jaknajlepiej rozwój dziecka przed urodzeniem, normalne jego przyjście na świat i dalsze wychowanie. To też ustawa rozciąga opiekę społeczną nad matką i dzieckiem na wszystkie sfery społeczeństwa, zarówno ubogie, jak zamożne.

Dlaczego państwo tak daleko posuwa swą troskę o przyszłych obywateli, o dobry materiał ludzki?

Oto olbrzymia śmiertelność dzieci i matek, niezwykle wysoka u nas cyfra zgonów noworodków i położnic wskazuje na zaniedbanie tak ważnych spraw, jak higjena macierzyństwa, brak fachowych sił lekarskich i pielęgniarских, brak wyszkolonych położnych i wzorowych zakładów i szpitali, które gwarantowałyby opiekę dla matek i noworodków. Nietylko wśród najuboższej ludności dzieje się tak źle — umiera bardzo dużo niemowląt w domach zamożnych, gdyż i tam nie umieją otoczyć matki i dziecka należyłą opieką.

Według projektu ustawy każda matka przed i po urodzeniu dziecka ma prawo do opieki społecznej, przyczem zamożniejsze osoby mogą ponosić koszty, ubogie zaś otrzymują pomoc lekarską i zakładową za darmo i mogą ponadto otrzymywać zasiłki pieniężne i w naturze od gminy.

Związki komunalne muszą utrzymać na swym terenie (w powiecie, mieście) lekarzy-specjalistów i położne, oraz zakładać schroniska i poradnie dla matek i zakłady położnicze.

Dla niemowląt do lat 2 mają być tworzone stacje opieki nad niemowlętami i stacje mleczne, żłobkiienne, stałe i zakłady specjalne.

Dla dzieci starszych będą otwierane zakłady różnego rodzaju, w szczególności dla dzieci opuszczonych i zaniedbanych, krzywdzonych, lub zagrożonych przez wpływy złego otoczenia. W tych ostatnich wypadkach rodzice mogą być przez sąd pozbawieni władzy rodzicielskiej.

Do utrzymania zakładów są obowiązane związki komunalne powiatowe, lub miasta; koszty utrzymania i kształcenia dzieci do lat 17 ponoszą odpowiednie gminy.

Tak szeroko pojęty zakres opieki nad macierzyństwem i dziećmi każe wnioskować, iż pełne urzeczywistnienie postanowień ustawy nie będzie mogło nastąpić odrazu. Upłynie sporo czasu, zanim powstaną potrzebne zakłady i instytucje opiekuńcze zanim znajdzie się dostateczna ilość sił wyszkolonych do prowadzenia opieki społecznej i higieniczno-lekarskiej w gminach i powiatach. Potrzeba na to wiele, wiele pieniędzy. Ale rzeczą kobiet jest upominać się o jaknajrychlejsze wykonanie tego programu. Przedstawicielki kobiet w radach gminnych, w organizacjach kobiecych, w związkach zawodowych muszą dopilnować, każda na terenie swej działalności, na wsi, czy w mieście, by gminy i powiaty rzetelnie zatroszczyły się o instytucje opieki nad matką i dzieckiem.

J. K.

### ZGON ELLEN TERRY

W swej wiejskiej rezydencji, w hrabstwie Kent, zmarła niedawno w wieku lat 81 nestorka sceny brytyjskiej, znakomita odtwórczyni ról Desdemony, Ofelji, Porcji, Rosalindy, Beatryczy i innych postaci, zarówno repertuaru szekspirowskiego, jak i współczesnego dramatu.



Ellen Terry



Ze śmiercią Ellen Terry schodzi do grobu nie tylko jedna z najznakomitszych artystek świata, która była tem dla Anglii, czem Réjane i Sarah Bernardt dla Francji, Eleonora Duse dla Włoch, a Modrzejewska dla Polski—ale uosobienie słonecznej kobiecości, która całe życie czarowała publiczność i najbliższe swe otoczenie ujmującą serdecznością, prostotą, świeżością i do najpóźniejszego wieku zachowała młodzieńczą iście pogodę i równowagę wewnętrzną, pomimo tego, że w ostatnich latach zaniewidziała niemal zupełnie.

Zgasła w swoim ustronem „home“, otoczona kwiatami, w atmosferze artystycznie urządzonego wnętrza, i w ostatniej swej woli pisała, aby nikt nie płakał nad jej grobem i aby pogrzeb odbył się w nastroju radości i pogody. Była matką słynnego reformatora w dziedzinie dekoracji teatralnej — G. Craiga.

W uznaniu jej zasług dla sceny angielskiej, król Jerzy podniósł jej nazwisko do godności szlacheckiej. S. P. O.

### ORGANIZACJA SPÓŁDZIELCZYŃ ANGIELSKICH

Dziewięćdziesiąt tysięcy członkiń, należących do angielskiej „Ligi Spółdzielczyń“ (Women Cooperative Guild) świadczą, iż kobieta angielska rozumie znaczenie spółdzielczości, i że nie jest tylko biernym widzem wobec nowoczesnych zjawisk gospodarczych.

Przywódcy ruchu spółdzielczego w Anglii dawno już—przed pół wiekiem — pojęli tę prostą prawdę, iż nie na wiele przyda się entuzjazm mężczyzn dla spółdzielczości, jeśli kobiety-gospodynie będą kupowały w sklepach prywatnych i że trzeba będzie zamknąć największe magazyny spółdzielni spożywców, jeśli nie wciągnie się kobiet do czynnego i świadomego udziału w ruchu spółdzielczym.

Organizacja „Ligi Spółdzielczyń“ rozwinęła się w Anglii bardzo pomyślnie. Nie prowadzi ona przedsięwzięcia własnych, lecz ma niezmiernie znaczenie propagandowe, szerzy wśród kobiet ideę spółdzielczości, wciąga członkinie do kooperatyw i stara się o zapewnienie kobietom wpływu w instytucjach i władzach spółdzielczych, organizuje rozrywki kulturalne i tworzy instytucje samopomocy dla członkiń.

W statucie owym „Women Cooperative Guild“ stawia sobie za cel krzewienie ducha spółdzielczości, szerzenie zasad i praktyki spółdzielczości, ulepszanie warunków życia domowego i jednocześnie kobiet wszystkich krajów w pracy nad powszechnym pokojem.

Metoda działalności Ligi jest bardzo prosta. Tworzą się koła spółdzielczyń, oczywiście przeważnie ze sfer pracujących i robotniczych, w dzielnicach miast, lub ogólnie w mniejszych miejscowościach, wybierają swe zarządy i ustanawiają dzień zebrania raz na tydzień. Na zebraniach tych poruszane są różne tematy, interesujące ogół kobiet. Oprócz wyjaśnień teorii i praktyki spółdzielczości, mówi się tam o gospodarstwie domowym, wychowaniu dzieci, opiece społecznej nad macierzyństwem, o sprawach mieszkaniowych i szkolnych, o warunkach pracy kobiet i płacach kobiet w przemyśle itd.

Liga dąży do wprowadzenia swych przedstawicielek do samorządów, rad miejskich i gminnych, gdzie mogłyby one walczyć o reformy społeczne i sanitarne, o opiekę nad dziećmi i kobietami, o kąpiele publiczne i pralnie ludowe, itd.

Dobrych, rzeczowych odczytów i pogadań dostarcza kołom spółdzielczyń sprężysto zorganizowany sztab 600 prelegentek. Liga wydaje własny tygodnik i publikacje fachowe, rozporządza kulturalnymi ogniskami dla członkiń i domem dla rekonwalescentek.

Koła lokalne Ligi Spółdzielczyń łączą się w sekcje, tworzące jedną reprezentację narodową. Oprócz Anglii w skład Międzynarodowej Ligi wchodzi 10 krajów europejskich. Polski dotychczas brak w tym zespole.

Na kongresie spółdzielczym w Sztokholmie w roku ubiegłym omawiana była sprawa założenia Ligi Spółdzielczyń w Polsce. Dotychczas jednak tylko jednostki interesują się tą sprawą. Sze-

roki ogół kobiet naszych nie docenia korzyści gospodarczych i moralnych, jakie daje spółdzielczość. A jednak dalszy rozwój spółdzielczości nie obejdzie się bez czynnego udziału kobiet. j. k.

### CENTRALA ROZWODOWA W AMERYCE

Ongiś w Europie słynna była pewna wioska pod nazwą Gretna-Green, na pograniczu Anglii i Szkocji, dokąd zjeżdżały się z całego państwa Brytyjskiego i z szerokiego świata zakochane pary, aby zawrzeć ślub, — wedle miejscowych przepisów, nie wymagających żadnych formalności, oprócz wypowiedzenia znamienego frazesu, „biorę ciebie za męża“ — wobec jedynego świadka „urzędnika stanu cywilnego“, którym był miejscowy kowal.

Podobną sławę, tylko w dziedzinie rozwodów, zjednało sobie obecnie miasto Reno w stanie Nevada (Stany Zjednoczone). Każdy ze Stanów w Ameryce ma swą odrębną legislaturę, a stan Nevada wprowadził od niedawna zmianę prawa rozwodowego, skracając przepisy okres stałego pobytu ubiegających się o rozwód, z miesięcy 6 do 3-ch.

Korzystając z tego udogodnienia, zjeżdżają się tu nieszczęśliwe małżeńskie pary z całego terytorjum Stanów Zjednoczonych i, zamieszkawszy w uroczym miasteczku przez kwartał, rozwodzą się i wstępują zaraz potem w nowe związki.

W ten sposób Reno stało się niejako centralą rozwodową Stanów Zjednoczonych.

Według statystyki miejscowej w ubiegłym roku rozwiązało tam swe małżeństwa blisko 2.000 par. H. S.



70-lecie urodzin królowej-wdowy Niderlandów.  
Królowa Emma z wnuczką, księżniczką Juljanną.



## CZEGO NAJBARDZIEJ ŻAŁUJEMY, STARZEJĄC SIĘ?

Jedno z kobiecych pism francuskich ogłosiło ankietę pod powyższym tytułem. W odpowiedzi na to, tak bardzo żywotne, pytanie napłynął szereg nadwyras charakterystycznych odpowiedzi, z których niejedna zasługuje na uwagę. Psychika każdego z narodów ma zabarwienie indywidualne, ściśle uzależnione od szczepu, z jakiego dany naród się wywodzi, od jego obyczajów, sposobu wychowania, stopnia kultury i klimatu, w jakim żyje; to też sędzę, że dopiero zestawienie odpowiedzi szeregu jednostek, przynależnych do poszczególnych narodowości, dałoby ciekawą całość.

Kobiece pisma francuskie mogą poszczycić się, zaiste, wielką żywotnością redagowania. Wszechstronność poruszanych tematów, umiejętność zainteresowania i wciągnięcia do współpracy jak najszerszych warstw czytelniczek, zyskują im popularność, w porównaniu do pism naszych, prawdziwie fantastyczną. Naśladowanie obcych wzorów w sposób bezkrytyczny i graniczący z plagiatem, jest rzeczą nietylko przekraczającą granice etyki literackiej, ale i sprawą chybioną, jeżeli weźmiemy pod uwagę odmienne warunki i odmienne wymagania sfer czytających; jednak pewne dopełnienie walorów i uzdolnień własnych, przez uznanie wyższości tych, którzy w przeciwieństwie do nas mają wiekową pod tym względem rutynę, rutynę, nie łamowaną latami niewoli i wślad za nią idącej ostrej cenzury—wpłynęłoby niezawodnie na podniesienie i ożywienie poziomu pism naszych.

Gdyby wśród czytających te słowa znalazły się jednostki, solidaryzujące się z moim punktem widzenia, czytelniczki, które nie miałyby nic przeciwko wypowiedzeniu się na łamach naszego pisma, chętnie uchylające rąbek tajemniczej zasłony, za którą kryją się ich poglądy i uczucia, a przytem pełne porównawczego zainteresowania, którego zaspokojenie znalazłyby we wspólnej wymianie myśli—mogłybyśmy łatwo stworzyć i na łamach naszego pisma dział podobny do tak bardzo ożywionego działu polemicznego pism obcych.

Narazie, zanim luźno rzucony projekt zapuści głębsze korzenie i wyda plon w postaci zainteresowania, zgłoszonego przez nasze Czytelniczki—przyjrzyjmy się bliżej wynikom, jakie dała ankieta, ogłoszona przez wspomniane pismo francuskie.

Zapytania rozesłano do szeregu osób ze świata literackiego i artystycznego, zapraszając równocześnie wszystkie czytelniczki do wzięcia udziału w ankiecie.

Najgłębszemi i najciekawszemi odpowiedziami dzielię się z Paniami.

Romansopisarka pani Marcelle Tinayre:

„Trudno na tak niedyskretne pytanie odpowiedzieć z pełną szczerością. Temwięcej, że nie czuję

jeszcze ciężaru lat minionych, a jednak przyznać muszę, że pomimo całej duchowej odporności, starzeję się! Czego żałuję? Niczego. Młodość dała mi wszystko, czego od niej oczekiwałam. Dzisiaj upajam się cichą i piękną jesienią, a młodość dzieci moich jest moja drugą młodością...“

Księżna Lucien Murat, dzisiejsza właścicielka doskonale postawionej księgarni, odpowiada, co następuje:

„Czego żałuję najbardziej w obliczu zbliżającej się starości? Przemijającej urody, młodości, co się rozwiała niepowrotnie, a nadewszystko—włosów, znikających tak demonstracyjnie z bujnych czupryn tych, którzy mnie podobno kiedyś kochali... Nasza starość—to ciężar, spadający na barki ludzi nam współczesnych..“

Poetka, pani Helena Vacaresco, mieszkająca stale w Genewie, nadesłała stamtąd następujące słowa:

„Proszę nie myśleć, że żałuję, że obawiam się tego, co w obliczu starości gnębi prawie wszystkie kobiety...“

Nie dzielę życia na etapy. Unoszona biegiem wydarzeń, co zmieniają oblicze co dzień i co godzina, żyję zawsze w zgodzie z chwilą... Moje lusterko? Nie mam wprost czasu na studjowanie w niem własnych rysów; zresztą, gdybym to nawet robiła, jestem tak krótkowzroczna!... a współżyję z ludźmi dobrze wychowanymi, którzy nie będą nigdy mówili ze mną o zmarszczkach, podkreślających przemijające lata.

Czego żałuję? Nie młodości, okresu największych zawodów, okresu, w którym marzenia i żądza wychylenia do dna wszystkich rozkoszy, jakie daje życie, przysłaśniały mi całkowicie horyzont. Nie żałuję niczego, prócz zmarnowanych możliwości owocnej pracy, której stała na przeszkodzie zachłanność, trzymająca mnie w stanie ciągłego upojenia.

Nie żałuję niczego... gdyż dopiero u progu dojrzałości nadałam istotny bieg moim myślom i uczuciom, pozostawiając miłość poza sobą... To, czego pragnęłam najgoręcej, dokonało się dopiero teraz. Nie jestem przytem kokietką. Żądza podboju zapomocą innych środków, jak słowo, poezja i myśl—jest mi obcą.

Proszę nie oczekiwać po mnie ani jednego okrzyku żalu, skierowanego do tej uwielbianej młodości, która nas spala, nie zostawiając po sobie nic, prócz znanych następstw pożaru: — zgliszcz i smutnych popiołów.

Żałuję tylko tych istot bliskich i drogich, które tak, jak miłość, zostały poza mną, zatopione w mrokach wieczności, gdzie odnajdę je kiedyś. Młodości! Przekłête godziny, w których nie byłam sama sobą. Młodości! nie znajdziesz mnie wśród tych zrozpaczonych, które, wdychając, przywołują cię, szukając twego oblicza obok swych rysów, odbitych w zwierciadle, któremu byłam tak wdzięczną, gdy mi dało znać, że już odchodzisz...“

Pani Ludmiła Pitoeff, uroczą i utalentowaną artystką dramatyczną:



„Cóż za pytanie! Nie myślałam dotąd nigdy o starości. Czegóż żałować z chwilą, gdy się jeszcze nie czuje starą! A zresztą, nie trzeba nigdy niczego żałować. Życie jest zbyt ciekawe i zbyt piękne. Kocham życie ze wszystkimi jego łzami i uśmiechami. Śledzę z radością rozwój moich dzieci, nie myśląc ani na chwilę o tem, że one wchodzą na wyżyny, a ja z nich schodzę. Są one dla mnie nieustającym źródłem olśnienia. Trudno mi oddać słowami głębię poznanowania, jaką odczuwam w obliczu maleńkiego istnienia mego najmłodszego piętnasto - miesięcznego dziecka! Nie jestem kokietką, to też sądzę, że nie odczuję nigdy lęku przed zmarszczkami i siwymi włosami... Żyję, a to samo przez się jest już rzeczą tak piękną...”

Wyraźny, energiczny, jakby skreślony z pośpiechem podpis, pod nieco kostyczną odpowiedzią: Claude Farrère. „Czego żałuję najbardziej, czując nadchodzącą starość?”

— Mojej młodości, ze wszystkimi, co ona mieściła w sobie“.

Maurycy Rostand jest zdania księżnej Murat, wypowiadając zgrabnym czterowierszem swoje credo, które w głównych zarysach ma na celu wypowiedzenie przekonania, że:

„Żałujemy najgoręcej nie tego, że starzejemy się sami, ale że musimy patrzeć, jak starzeją się ci, których kochamy“.

Na zakończenie—odpowiedź pani Henriette'y Charasson, krytyczki literackiej, poetki i romansopisarki, która ostatnio ogłosiła drukiem przesłiczną i wzruszającą książkę: — „Dwaj mali ludzie i ich matka“:

„Nie mogę żałować tego, że się starzeje, gdyż dopiero u schyłku młodości spotkałam to, czego pragnęłam zawsze najgoręcej: spokojną, zrównoważoną wiarę, pełne i pewne uczucie miłości i dzieci — jedyną prawdziwą wartość życia! Nie chciałabym przeżyć drugi raz mej młodości, przeto nie mogę żałować, że dojrzałość zbliża się szybkim krokiem. Jakaż jednak kobieta w moim wieku, jeżeli chce być prawdziwie szczerą, nie odpowie, że to, czego żałuje, patrząc w lustro, to właśnie te, mało widoczne jeszcze, znaki ostrzegawcze, które każą jej pamiętać, że oto nadeszła chwila, znacząca sobą koniec triumfalnego marszu ku najdoskonalszemu rozwojowi fizycznemu.

Jakże nie żałować zresztą, szczególnie, gdy się jest słabego zdrowia, dawnej odporności i elastyczności minionych lat dwudziestu?

Wreszcie, jeżeli mam wypowiedzieć się całkowicie, muszę przyznać, że są w sercu mem rany, których czas nie jest wstanie zagoić, a starość pogłębi je jeszcze niezawodnie: nie mogę pogodzić się ze śmiercią istot najdroższych, z tem, że oto dzisiaj jestem matką, której moja matka nie pozna już nigdy, że los każe mi być starszą siostrą starszego brata, który poległ w r. 1915 na polu chwały...”

Przenosząc na papier uczucia i myśli osób obcych i dalekich, nie przestaję pragnąć, aby na tem samem miejscu wypowiedziały się szczerze i nasze Czytelniczki. Pragnienie to, wolne od niedyskretnej ciekawości, ma prędzej za podłoże ciekawość porównawczą i obserwacyjną, ciekawość, budzącą się zawsze w obliczu ewolucji myśli, uczuć i pojęć, jakie niesie ze sobą życie.

Ja osobiście, na tak obcesowo zadane pytanie miałabym odpowiedź jedyną:

„Żałuję gorąco, szczerze, żywiolowo—ulatującej młodości, nie za jej czar górny i chmurny, ale za to, że była niedoceniona! Zdawała się bowiem należną daniną życia, a nie cudem, nie bogactwem i nie skarbem. Egoistyczna i zapatrzona w siebie okrutna—młodość zda się nie rozumieć, że jest tylko pszczołą, zbierającą pyłek kwiatowy, który przerobią na miód dojrzałe lata. Młodość nie wie nigdy, nie chce wiedzieć, że oto jest wstępem zaledwie do życia, a nie jego jedyną, pierwszą i ostatnią treścią. Żałować młodości z goryczą, bezkrytycznie, może tylko ten, komu życie nie przyniosło w darze duchowego udoskonalenia. Dla tych, którzy stoją na martwym punkcie, pierwsze zmarszczki i pierwszy okrutny sygnał czasu jest i będzie zawsze tragedją prawdziwą. Kto jednak przez pracę twórczą, przez zrozumienie prawdziwych wartości życia, kształtuje się i dojrzewa, kto nie stoi na miejscu, a idzie stale naprzód, dążąc ku wyżynom—ten doceni ciężar wszystkich łez i uśmiechów, rozdanych zbyt szczerą ręką, i, nie żałując samej młodości, nie przestanie boleć nad tem, że nigdy prawie nie była mu fundamentem pod trwałą i piękny gmach życia. Młodość jest przeważnie erą omyłek i, jako taka, nie zasługuje na oblewanie jej łzami...”

W. N.

## WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIEC

### VII.

Gospodarstwo.

— Nareszcie, nareszcie!—pomyśli sobie zapewne niejedna z czytelniczek,—oto coś, co nie trąci inowacją; sprawa bliska, zrozumiała dla wszystkich kobiet i nie wymagająca ani specjalnej odwagi przy rozpoczynaniu, ani specjalnego wysiłku przy kontynuowaniu!

Rzeczywiście, nie wiem, czy istnieje kobieta, dla której sprawy gospodarskie byłyby zupełnie obce i dalekie. Proste pytanie: — co będzie jutro na obiad? — nawet najbardziej zaciekle sawantkę siłą strąca z piedestałów mądrości na ten padół spraw kuchennokulinarnych. Może jedynie kobiety bardzo, bardzo bogate nie dotykają się zupełnie spraw gospodarczych,



ale i te niekiedy muszą się o nie otrzeć. Taki to już widać kobiecy los!

Dawniej, przed wojną oczywiście, dreptanie koło gospodarstwa nie tylko nie było uważane za fach, ale nawet odmawiano mu nazwy pracy: wynikało ono prosto z obowiązków pani domu i robiło się tak jakoś nieznacznie, między jednym a drugim pogodnym uśmiechem, między jedną a drugą wizytą, że i umiejętność gospodarowania przychodziła jakoś sama przez się. Prawda, że młode mężatki często rzewnymi łzami oblewały swoje pierwsze „przyjęcia“, czy też inne tego rodzaju występy; prawda, że sławę dobrych gospodyń otrzymywały dopiero niewiasty leciwe, po długoletnich trudach i doświadczeniach, ale — jakoś to wszystko szło.

Dopiero ostatnie lata, powstałe pod znakiem praktyczności i oszczędzania czasu, wyrwały zajęcia gospodarskie z błędnego koła dorywczosci, pchnęły je na zupełnie nowe tory. Poczęto spoglądać na gospodarstwo domowe, jak na pracę, wymagającą uprzedniego przygotowania i wykształcenia, a szeroko rozwijająca się działalność społeczno-oświatowa wyłoniła potrzebę instruktorek i nauczycielek gospodarstwa dla szkół zawodowych i środowisk oświatowych po wsiach. I dlatego gospodarstwo stało się już fachem, wymagającym specjalnych szkół i specjalnego przygotowania.

Z licznych szkół i kursów gospodarczych, mających na celu przygotowanie przyszłych kierowniczek i nauczycielek, na pierwszy plan wybijają się Państwowe Seminarja Gospodarcze, których mamy dwa: w Krakowie (Pędzichów 13) i w Warszawie (Nowowiejska 43c). Warunki przyjęcia: 6 klas szkoły średniej. Kurs trwa 3 lata i obejmuje wszystkie działy gospodarstwa domowego. Dobrą stroną tych zakładów jest gwarancja posady po ukończeniu seminarjum. Podobne szkoły instruktorek gospodarczych, prowadzone jednak przez prywatne instytucje, mamy jeszcze trzy: w Pniewach (pow. Szamotulski, woj. Poznańskie) — Seminarjum Gospodarcze SS. Urszulanek; w Rudzie Częstochowskiej — Szkoła Instruktorek Gospodarstwa Domowego, prowadzona przez Stowarzyszenie Ziemianek; w Zakopanem — Zakład Kórnicki.

Prócz szkół tego typu, mamy jeszcze szkoły gospodarcze o niższym poziomie, gdzie są przyjmowane uczennice ostatnich klas szkół powszechnych. Szkoły takie istnieją: w Warszawie (Chłodna 27 i Solec 46) — Państwowa Szkoła Pracy Domowej; w Grudziądzu (ul. Trynkowa 19) — Szkoła Gospodarcza Izby Rzemieślniczej; w Krakowie (Pędzichów 13) — Miejska Szkoła Gospodarstwa Domowego; w Łodzi (ul. Konstantynowska 29) — Miejska Szkoła Gospodarstwa Domowego; w Poznaniu (Św. Marcina 69) — Szkoła Gospodarcza Zawodowa; w Więcborku (pow. Sępólno) — Szkoła Gospodarstwa Domowego i w Sosnowcu — Szkoła Gospodarstwa Domowego. Szkoły te, jeżeli chodzi o fach, kształcą na gospodynie do większych

domów, pozatem uczą umiejętnego i racjonalnego prowadzenia swego własnego, małego gospodarstwa. Gospodarowania „na swoim“ uczy również Szkoła Gospodarcza w Chyliczkach i w Snopkowie pod Lwowem. Jako cenzus naukowy — wymagane jest ukończenie szkoły średniej. Kurs trwa 3 lata. Szkoły te tem się różnią od pozostałych, iż uczą prowadzenia gospodarstwa na wielką skalę i dlatego kierunkiem swym odpowiadają przeważnie potrzebom pań ze sfer ziemiańskich.

Oprócz szkół, posiadamy w Polsce jeszcze cały szereg kursów, które nie zawsze obejmują całokształt gospodarstwa, lecz poszczególne jego działy, jak np. kilkodniowy kurs przetwornictwa owocowego i warzyw w Janowcu, (pow. żniński — Wielkopolska), lub świeżo otwarta w roku bieżącym szkoła mleczarstwa i serowarstwa w Szafarni, pod Gałubiem w powiecie rypińskim.

Oprócz jednak gospodarstwa ściśle domowego, bardzo wiele kobiet interesuje się gospodarowaniem w cokółwiek szerszym zakresie, czyli gospodarstwem wiejskiem. To zamiłowanie, aczkółwiek trochę mniej odpowiadające fizycznej sile kobiecych rąk, nie jest również inowacją: od dawien dawna, bowiem, kobiety zarządzały majątkami i wywiązywały się z tego zadania, kto wie, czy nie lepiej od „panów i władców“.

Zasadniczym zakładem naukowym dla zdobycia wiedzy rolniczej jest S. G. G. W., czyli, tłumacząc te kabalistyczne znaki na język zrozumiały: Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego, mieszcząca się w Warszawie przy ulicy Miodowej. Jako szkoła wyższa, oczywiście wymaga ona matury. Kurs trwa przeciętnie 4 lata i zarówno, jak na uniwersytecie, po ukończeniu kursu można albo dostać zwykły dyplom, albo, po całej serji egzaminów — tytuł inżyniera. S. G. G. W. posiada 3 wydziały, a mianowicie: rolniczy, leśny i ogrodniczy. Oczywiście — leśnictwo jest dla kobiet najmniej odpowiednie, ogrodnictwo zaś — najbardziej; zresztą — zależy to od warunków i potrzeb. Poza S. G. G. W. — szkół czysto rolniczych dla kobiet nie ma. Istnieje natomiast poza działami ogrodnictwa, znajdującymi się przy każdej prawie większej szkole gospodarstwa domowego, sporo kursów ogrodniczych. Mamy więc: w Poznaniu (Libeltał) — Państwowa koedukacyjna szkoła ogrodnictwa. Wymagane świadectwo z 6 klas, kurs trwa 3 lata; w Fredrowie (Woj. łwowski, poczta Rudki) — Koedukacyjne dwuletnie kursy praktyki ogrodnictwa, oraz w Warszawie (Wieska 12) 1-roczone Kursy Pszczelniczo-Ogrodnicze, również koedukacyjne.

Pozatem sporo jest różnych drobnych kursów mleczarskich, pszczelniczych i t. p.

Nie potrzebuję chyba dowodzić, jak bardzo tego rodzaju zajęcia odpowiada psychice kobiety.

Właśnie dlatego, że nie jest ono żadną inowacją, żadną rywalizacją z mężczyznami — tak łatwo wchodzi w ręce i tak łatwo je dostosować do każdego



warunków życia. Panienska niezamożna, nie mająca własnego warsztatu gospodarczej pracy, niechaj idzie do seminarjów, do szkół instruktorek, a zdobędzie obok miłej pracy dobry kawałek chleba. Dziewczeta, które posiadają coś „swojego własnego“, mają do wyboru wiele szkół, aż do Chyliczek i Snopkowa włącznie, nie mówiąc już o Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego, która, obok wiadomości fachowych i czyisto praktycznych, da naukowe pogłębienie przedmiotu.

Zofja Miszewska.



## GOŁĘBIE

Dokończenie.

Prawdziwie staranny i zamiłowany hodowca postara się zawsze o oswojenie pielęgowanego stada. W tym celu odwiedzać będzie gołębnik codziennie, wchodząc do niego bez hałasu i przynosząc ze sobą zawsze trochę przysmaków, jak np. siemienia konopnego. To niewinne przekupstwo zapewni wkrótce człowiekowi wdzięczność ptaków, które oswoją się łatwo z jego obecnością, a poniekąd nawet wyczekiwać jej będą.

Mięso młodego gołębia stanowić powinno poważną gałąź zbytu. U nas jest ono naogół niedoceniane, a sztuki, znajdujące się w handlu, są albo małe i stosunkowo bardzo chude, albo też większe, ale już niesmaczne i nieodpowiadające wymaganiom smakoszy. Gołąb stary nie daje bowiem innego mięsa, jak czarne i bardzo twarde, pomimo najdłuższego i najumiejętniejszego pieczenia, czy też gotowania. Sztuczne tuczenie gołębi wymaga specjalnej techniki, inaczej nie opłaca się prawie nigdy.

Tuczenia nie należy zaczynać wcześniej, ani też później, jak w 25-ym lub 30-ym dniu życia gołębia. Jest to okres najodpowiedniejszy. Sztuki młodsze, zbyt delikatne, nie znoszą obfitości karmy, a jeśliby nawet zniosły, to mięso ich stanie się zbyt miękkie i słodkie. Tuczenie, rozpoczęte za późno, wydaje mięso smaczne, lecz niemniej twardsze od mięsa gołębi, tuczonych w odpowiednim wieku.

Sztuczne tuczenie polega na umieszczeniu gołębi w koszu, wysłanym słomą. Podściółkę należy zmieniać bardzo starannie. Koszyk nakrywamy płótnem, aby zabezpieczyć ptakom półcień i ciszę. 3—4 razy dziennie otwieramy dziobki gołębi, wkładając w nie ziarna kukurydzy, wyki, lub gryki, namoczone w letniej wodzie. Proces tuczenia trwa około siedmiu dni.

We Francji, której rynki zbytu wymagają olbrzymiej ilości gołębi, nie zadawalniali się przytem in-

nym towarem, jak doborowym,—znajdują się specjalne tuczarnie. Stosują one ciekawe systemy karmienia gołębi z ust.

Tuczarnie te znajdują się: jedna w Petit-Ivry (firma Milandre i S-ka), druga w Altfortville pod kierownictwem Lacchin'a.

Obroty firmy Milandre przewyższają 3,000,000 fr., z czego około 2,000,000 przypada na Francję, a 1,000,000 na Londyn, gdzie wyżej wspomniana firma posiada filję.

Przytoczone tutaj dane mówią same za siebie. Powinny one przekonać i naszych hodowców, jak wielkie źródła dochodu i wydajnej fachowej pracy leżą jeszcze u nas odłogiem.

Gołębie, tuczone w specjalnych zakładach, dochodzą do wagi wprost imponującej. Waha się ona pomiędzy 150—500 gr.

Gołąb, przeznaczony do ekspedycji, a temsamem i narażony na dłuższe przebywanie w drodze, musi być odpowiednio wykrwawiony, co zabezpiecza mięso od szybkiego rozkładu, a w dodatku nadaje mu odpowiedni stopień białości i czyni je cenniejszem i bardziej poszukiwanem w handlu. Dalej—musi mieć wole oczyszczone zapomocą uciskania z dołu ku górze. Pokarm, pozostający w tym pierwszym żołądku czas dłuższy—kwaśnieje i powoduje szybki rozkład mięsa. W miesiącach letnich należy przytem usuwać wnętrzności, pozostawiając tylko żołądek i wątrobę—w zimie można ekspedjować gołębie z wnętrznościami. Skubanie sztuk, przeznaczonych do handlu, powinno odbywać się umiejętnie i starannie. Uszkodzony naskórek zmniejsza wartość towaru i obniża znacznie jego cenę. Zagranicą, gdzie lotki gołębie mają stosunkowo dosyć wysoką cenę, dzięki zapotrzebowaniu rynku galanteryjnego—usuwa się je natychmiast po wykrwawieniu, a przed rozpoczęciem skubania, aby ich nie zanieczyścić innemi piórami. Gołąb powinien być oskubany całkowicie, aż po ranę ciętą, od której wzwyż pozostawiają pióra, co podnosi wygląd ptaka.

Zabijanie gołębi odbywa się zapomocą umiejętnego uderzenia tępą stroną noża poza głową, poczem podrzyna mu się gardło, celem wspomnianego już wykrwawienia. Gołębie, przeznaczone do handlu, pakuje się w drewniane pudła, wysłane białym papierem, układając je naprzemian to głową, to kuprem. Powinny być zwrócone piersiami do góry. Hodowcy, dbający o estetyczny wygląd towaru, podwiązują nieraz czerwoną wstążeczką, związaną na kokardkę, szyję ptaka w miejscu zadanej rany, co przysłania ją, przytem podnosi i uwydatnia białość mięsa. Papier, którym wyłożone jest pudło, strzygą w misterną frendzlę, układając na niej główki ptaków.

Pudełka, przeznaczone do dalszej ekspedycji, zamyka się drewnianemi wieczkami i zabija gwoździami; pozostające na miejscu, dostarczane bywają do sklepów otwarte.

W. D.



## SKRZYNKI DO OWOCÓW

Wartość sprzedażna owoców w dużej mierze zależy od sposobu podania ich konsumentowi. Ale nie tylko wartość bezpośrednia danego produktu się podnosi, gdy go należycie, umiejętnie i sumiennie przesortujemy, a następnie opakujemy, zgodnie z nowoczesnymi wymaganiami: podnosi się wtedy cały poziom produkcji, budzi się zaufanie do wytwórczości danego kraju i rozwija się eksport. Gdy zaś ten kwitnie — ustaje obawa nadprodukcji, i wahania cen na rynku wewnętrznym znacznie się zmniejszają.

Są to argumenty niezmiernie ważne przy produkcji owocarskiej w Polsce. Umiejętność racjonalnego obchodzenia się z owocami jest u nas przywilejem nielicznych jednostek, a olbrzymia większość, nawet z pośród tych, którzy sadów swych nie wydzierżawiają, — albo nie umie zająć się owocami, albo nie docenia elementarnych zabiegów.

Mamy na to liczne i jaskrawe dowody. Oto od czasu do czasu, bądź w pismach, bądź na zebraniach, na których są poruszane bolączki ekonomiczne, ukazują się wezwania do tworzenia zbiornic owoców i organizacji sprzedaży tą drogą, w dużych masach, owoców z sąsiednich majątków. Zasada zupełnie słuszna i zdrowa, zasada, wprowadzona w czyn w innych krajach, lecz narazie jeszcze tylko w wyjątkowych miejscowościach dostępna dla naszych producentów owoców.

Niedostępna dlatego, że większość naszych sadów, które posiadacze usiłują podnieść do poziomu dochodowego, pochodzi z tych dobrych, dawnych czasów, gdy dziadowie i ojcowie nasi, — miłując drzewka, cień, przez nie rzucany w skwarnej roku porze, i lubiąc owoce, — brali do ręki cennik najzasobniejszej szkółki i wypisywali po jednym drzewku różnych odmian, bądź specjalnie zachwalanych, bądź noszących pięknie brzmiącą nazwę.

Dobrze, jeżeli część ich, niedobrana do naszych warunków klimatycznych, wyschła lub wymarzała. Dobrze — bo nie zaśmiecała doboru i ułatwiała dostęp promieniom słonecznym do sadu, założonego z conajmniej dwa razy większej ilości drzew, niż ich tam stać powinno. Więc nie dziw, że w takich warunkach drzewa słabo owocują, dają okazy liche i wszystkiego potrochu; nie dziw, że takim towarem niejednolitym nie interesuje się żaden poważniejszy odbiorca, i tylko żydki miejscowe na małomiasteczkowym jarmarku sprzedają tę lichotę niewybrednej klienteli.

Gdy więc sąsiedzi, posiadacze takich sadów, zwiozą swe plony do wspólnego mianownika, to najlepszy owocarz nie skleji z nich ładunku wagonowego jednej odmiany, — ładunku, pasującego do siebie tak, żeby mógł nosić przyjęte na rynku miano pewnej kategorii, uwarunkowanej wyraźnie określonymi cechami.

Ale nie tylko różnorodność odmian staje na przeszkodzie zespołowej formie sprzedaży. Niemniej ważnym powodem jest zaniedbanie naszych sadów, brak umiejętnego ich pielęgnowania i systematycznego zwalczania chorób i szkodników. Wskutek tego jeden właściciel dostarczy owoce czyste, wolne od plam, dobrze wykształcone, dzięki zraszaniu cieczą bordoską, albo Arbo anem, inni zaś przysłał pełne plam pokraki, niewyrośnięte, krzywe i popękane pod wpływem czarnego grzybka (*Fusicladium*).

Jeden właściciel zada sobie trud przesortowania owoców, inny — dostarczy razem z opadkami, byle dużo. Jeden zbierze owoce ręcznie, inny — strzésie, żeby prędzej się pozbyć roboty.

Jakże więc z takiego materiału złożyć partję jednolitą? Jak prowadzić sprzedaż zbiorową, gdy nie dbały posiadacz sadu będzie rościł sobie pretensje do takich samych cen za swe owoce, na jakie zasługują tylko owoce deserowe?

Więc sprzedajemy, każdy na własną rękę, albo — częściej jeszcze — każdy na własną rękę — wpuszczamy do sadu żyda, aby szerzył wśród służby demoralizację, psuł drzewa przez nieumiejętność, a owoce traktował z barbarzyńską ignorancją.

Lecz i przy sprzedaży na własną rękę umiejętność przebrania i opakowanie owoców gra wielką rolę. Powołuję się na zupełnie konkretny wypadek w jednej ze spółek owocarskich. Pokazano mi dwie partje Bery Ś-to Michalskiej (Bonkrety Williama), dostarczone przez dwóch uczestników owej spółki. Jeden przysłał dużo, ale owoców niejednorodnych, opakowanych w twardą słomę żytnią, i w dużych skrzyniach. Znaczna część owoców uległa zgnieceniu, a całość nie wyglądała zachęcająco. Drugi przysłał znacznie mniej, lecz tylko gruszek pierwszego wyboru, owiniętych starannie w papier, prześcielanych miękką, czystą owsianką, i ułożonych w niewielkich skrzynkach.

Wynik był taki, że pierwszy dostawca nie tylko za owoc nic nie otrzymał, ale musiał jeszcze dopłacić na pokrycie kosztów przewozu kolejowego, sprowadzenia do składów i komisowego. Drugi zaś zainkasował okrągłą sumkę i wyszedł zadowolony z działalności instytucji, na której jego sąsiad psy wieszał.

Za daleko zaprowadziłoby nas rozważanie wszystkich argumentów, przemawiających za koniecznością sumiennego dobierania i pakowania owoców, choć jest to sprawa tak ważna, że pewno jeszcze nieraz do niej powrócimy. Narazie zajmijmy się kwestją skrzynek do przesyłki owoców, bo czas już zacząć je szykować. Dla osób, mało obeznanych z przesyłką owoców, nieraz stanowi trudność wymiarkowanie wielkości skrzynek na żadaną ilość towaru. Wiadomo, że ściśle i umiejętne opakowanie zmniejsza koszt przewozu, natomiast zwiększa wartość owocu.

Najlepszym materiałem na skrzynki są deseczki osinowe lub olszowe, ostatecznie świerkowe, lecz te



ostatnie zawierają żywicę, która nadaje owocom niepożądany zapach. Deseczki powinny być cienkie, grubości 1 cm., i przybite od wewnątrz skrzynki do ram, wykonanych z łąt, mierzących 4 × 2 cm.

Przedewszystkiem przygotowuje się ramki, zbijając łąty na każdym węgle dwoma gontalami. Następnie przybija się do nich deszczułki, stanowiące krótkie ściany skrzyni, a dopiero potem dno i ściany długie. Około użytych gwoździ należy równocześnie okręcać drut milimetrowy palony (miękki), który w ten sposób otoczy całą skrzynkę. Pozostawia się też końce dość długie do przykrępowania niemi wieka.

Pomiędzy deseczkami powinny być pozostawione szpary, szerokości  $\frac{1}{2}$  do 1 cm., żeby powietrze miało swobodny dostęp.

Do każdej skrzynki trzeba przygotować deski dwojakiej długości: krótsze — na ściany krótkie, dłuższe — na dno, wieko i boki długie.

Niżej podane wymiary są przewidziane na owoc, prześcielany wełną drzewną i bardzo ściśle pakowany.

Skrzynka na 50 kg. (wymiar ramki): boki długie 90 cm., boki krótkie 45 cm., wysokość 40 cm.

Skrzynka na 30 kg. (wymiar ramki): boki krótkie 35 cm., boki długie 80 cm., wysokość 28 cm.

Skrzynka na 15 kg. (wymiar ramki): boki krótkie 35 cm., boki długie 70 cm., wysokość 25 cm.

Skrzynka na 10 kg. najczęściej jest rcbiona bez ramki, tylko deski na boki krótkie daje się nieco grubsze ( $1\frac{1}{2}$  cm.). Wymiary: długość 50 cm., szerokość 30 cm., wysokość 12 cm.

Najmniejszy wymiar skrzynek znajduje zastosowanie zwykle do renklod, śliwek i innych delikatnych owoców.

Stan. Schönfeld.



## WSPÓŁCZESNE GOTOWANIE

### II. ŚRODKI POMOCNICZE PRZY GOTOWANIU

Chcąc gotować umiejętnie i racjonalnie, musimy znać doskonale wszystkie środki, przyrządy i narzędzia, jakich mamy przy naszej pracy używać, aby zabierała ona nam jaknajmniej czasu, zużywała najmniejszą ilość sił fizycznych i wysiłku umysłowego.

Zacniemy więc od różnych rodzajów paliwa, używanych przy sporządzaniu potraw. W byłej Kongresówce i w Wielkopolsce używany jest przeważnie węgiel kamienny; w Małopolsce i na Kiesach wschodnich — drzewo. Blachy kuchenne, budowane do obu tych rodzajów opału, jednocześnie ogrzewające kuchnię zimą, latem — ze względu na rozwijane przez nie silne gorąco — są bardzo nieprzyjemne; przy dużych jednak

gospodarstwach i przy gotowaniu przez służącą, a nie przez samą panią — są dobre i może najmniej kosztowne w użyciu, ze względu na stosunkowo niski koszt paliwa. Blachy jednak potrzebują ciągłego dozoru, dokładania drzewa, czy węgla, rąbania jednego i drugiego, co już jest robotą ciężką i brudną. To też w dużych miastach wszędzie już starają się kuchnie węglowe zastąpić gazowymi; na prowincji, gdzie gazu brak, mogą go zastąpić maszynki naftowe.

Do gazu wróć raz jeszcze obszerniej, tymczasem słów parę o nafcie. Ów wysmiewany prymus, zastępujący ludziom, niemającym własnych mieszkań i gnieźdzącym się w jednym pokoju, ognisko domowe, dobrze utrzymane i umiejętnie używane, jest doskonałym narzędziem. Może miłsze w użyciu są szwedzkie kuchenki knotowe „Graets“, gdyż nie robią takiego przykrego hałasu; primus jednak ma tę zaletę, że do niego możemy stosować wszystkie najnowsze, ułatwiające gotowanie, aparaty, które są używane przy gotowaniu na gazie: wszelkie rondle wieżowe, aparaty do pieczenia, aparaty hełmowe itp. Niestety! nie mamy w Polsce wcale dużych pieców naftowych, ogromnie rozpowszechnionych w Ameryce, zastępujących zupełnie blachy węglowe i gazowe, musimy więc nauczyć się cenić nasze małe prymusy. Odpowiednio traktowane — szczególnie, jeżeli ich posiadamy dwa jednocześnie, mogą one nam zastąpić przynajmniej kuchenkę gazową.

Nie będę tu mówiła dużo o elektryczności. Stosowana powszechnie w Ameryce, gdyż tam, gdzie gaz nie dochodzi, prąd elektryczny dociera, i w tych krajach europejskich, gdzie siła wodna, ten biały węgiel, robi ją dostępną; u nas, niestety, jest ona za droga aby o powszechnem jej stosowaniu mogła być mowa. Są doskonałe aparaty elektryczne, ułatwiające różne czynności kuchenne. Aparat ten nietylko miele mięso, uciera cukier i kawę, kraje drobno jarzyny, obiera owoce, lecz nawet kręci lody; szkoda tylko, że w gospodarstwach, gdzie się liczyć trzeba z groszem, a o takich tutaj mówię, użyć się nie da, bo jest za kosztowny. Tam, gdzie jest światło elektryczne, może znaleźć zastosowanie mała płytki elektryczna, na której można przygrzać jakieś mięso, usmażyć jajecznicę itp. w godzinach, kiedy już służba korzysta z odpoczynku. Zresztą nawet taka mała płytki, rozmiaru talerzyka deserowego, jest dosyć kosztowna w użyciu, gdyż stosunkowo długo się zagrzewa — wada, którą mają i duże blachy, węglem opalane — zato ma wspólną z niemi zaletę, że długo trzymają ciepło.

Bardzo miłym i czystym opalem jest spirytus. Znowu, niestety, nie mamy w kraju udoskonalonych większych kuchen spirytusowych. Jednak i przy tych małych, bardzo niedoskonałych przyrządach, jakimi rozporządzamy, spirytus w małych kawalerskich, a raczej panińskich gospodarstwach, a szczególnie w podróży, oddaje nam nieocenione usługi. Przy zręczności i pomysłowości mnóstwo smacznych rzeczy na nim



prędko, oszczędnie, czysto i bez kłopotu prawie ugotować można.

Wracam teraz do gazu. Niestety, jest on dostępny wyłącznie mieszkańcom miast większych. Lecz tam, gdzie go mieć można, jest to idealny prawie opał kuchenny. Trzeba tylko umiejętnie go używać, a za przykładem stolicy wszystkie miasta, posiadające gazownie, chętnie uczą bezpłatnie zarówno panie, jak i służące, racjonalnego i oszczędnego posługiwania się palnikami gazowymi. Nadzwyczajna czystość, gdyż nie tylko zapalenie gazu nie wymaga żadnych prac przygotowawczych, lecz i naczynia, zupełnie nieokopcone nie potrzebują szorowania i czyszczenia: zwykłe zmycie ich wystarczy. Dzięki temu, że gazu używamy tylko tyle, ile go rzeczywiście potrzebujemy, bo zapalamy go w chwili, kiedy już rondle stoją na maszynie, a gasimy z chwilą, gdy potrawa ugotowana, przy czym i w samym trakcie gotowania, dzięki udoskonalonym przyrządom, używamy najmniejszego płomienia, gaz jest obecnie najtańszym opałem kuchennym, niezastąpionym szczególnie tam, gdzie gospodyni jest pozbawiona pomocy służącej. Już nie mówiąc o kompletnych kuchniach gazowych, z piecykiem do pieczenia — zwykła tania, dwupłomieniowa kuchenka oszczędnościowa, a nawet jednopłomieniowa fajerka, którą na każdym stole umieścić można, — daje możliwość prowadzenia zdrowej i oszczędnej kuchni domowej.

Następnym, najważniejszym czynnikiem w oszczędnym gotowaniu są naczynia i narzędzia kuchenne. Nie jestem wcale zwolenniczką ani skomplikowanych narzędzi, których czyszczenie i utrzymanie w porządku nieraz więcej czasu wymaga, niż ich pomoc go nam zaoszczędza, ani też nieskończonej ilości drobnych przyrządeków, nibyto potrzebnych, zagracających nam kuchnię. Uważam, że naczyń nie trzeba mieć zawiele, lecz że te, które mamy, powinny być praktyczne i trwałe. Najtrwalsze były przedwojenne naczynia miedziane, dzisiaj bardzo rzadko spotykane; wymagały one dużo pracy przy czyszczeniu i częstego, kosztownego bielenia cyną, natomiast mogły służyć kolejno kilku pokoleniom. Po nich najlepsze i najtrwalsze, przytem nadzwyczaj łatwe do utrzymania w czystości, są naczynia niklowe, niestety bardzo kosztowne. Sprzedawane za niklowe naczynia żelazne niklowane nie są trwalsze od aluminium, a dużo od niego kosztowniejsze. Bardzo dobre są naczynia emaljowane, o ile je kupimy w najwyższym gatunku. Najtrwalsze są ciemno-wisniowe zewnątrz, a niebieskawo-szare wewnątrz; po dziesięciu latach codziennego użycia ani kawałek emalii w takich rondlach mi nie odskoczył, kiedy całe dziesiątki nieco tańszych rondli, o innym zabarwieniu, a głównie z białą emalją wewnątrz, musiałam już powyrzucać, jako niezdatne do użytku. Rondli o raz nadszczerbionej emalji nie należy używać pod żadnym pozorem: cząstki emalii, trafiające wraz z pokarmem do żołądka, mogą spowodować poważne szkody dla

zdrowia, — są one najczęściej przyczyną zapalenia ślepej kiszki.

Najczęściej używane są obecnie kuchenne naczynia aluminiowe. Lekkie, ładne i łatwe do utrzymania w czystości, potrzebują jednak umiejętnego obchodzenia się z nimi. Nie wolno do czyszczenia ich używać sody, ani ługu, tak lubianych przez nasze służące. Przy kupnie naczyń aluminiowych należy wybierać zawsze tylko krajowe wyroby, nieco droższe od niemieckich, lecz grubsze, lepszej roboty i kilkakrotnie trwalsze. Ilość naczyń kuchennych winna być ściśle dostosowana do ilości osób w rodzinie i potrzeb tej ostatniej. Wszelkie naczynia większe, rzadziej używane, powinny być przechowywane gdzieś oddzielnie, aby nie służyć bądź za zbiornik kurzu, bądź też nie zajmować czasu służbie zbyt częstem ich czyszczeniem.

Oprócz zwykłych rondli, garnków, brytfann i patelni, których użytek jest powszechnie znany, weszły ostatnimi czasy w użycie różne przyrządy, ułatwiające gotowanie. Najstarszym z nich jest tak zwany „dogotowywacz“, lub „skrzynka szwedzka“, składająca się z pudła drewnianego, napełnionego źle przepuszczającym ciepło materiałem (sianem, watą drzewną), mocno ubitym. W środku są pozostawione miejsca na garnki. Po ugotowaniu potrawy garnek z nią wstawiamy w takie gniazdo, zakrywamy poduszczką, również szczelnie przylegającą, zakrywamy pudło i potrawa może tak stać kilka godzin, nie tracąc ciepła; niektóre dania „dochodzą“ nawet, naprzykład: wszelkie kasze, mięso niezupełnie dogotowane, lub doduszone, kompot niezupełnie miękki itp. Dogotowywacze takie, bardzo rozpowszechnione za niemieckiej okupacji, obecnie zupełnie znikły z handlu. Każda jednak praktyczna gospodyni potrafi taki aparat zrobić sama, lub przy pomocy prostego stolarza, a nawet bez obcej pomocy, o czym już dwukrotnie w „Bluszczu“ pisałam.

D. c. n.

Pani Elżbieta.







### SLEDZIE WĘDZONE

Sledzie wędzone są tylko wtedy smaczne, gdy są świeżo uwędzone; trzymane długo, tracą zapach dymku, wysychają zanadto i są zupełnie niejadalne. To też, mieszkając na wsi, lub w małym miasteczku, gdzie niema wędzarni, najlepiej jest śledzie wędzić w domu. Duże, tłuste śledzie, — mogą być nawet norweskie (małych niewarto wędzić), namoczyć na dwanaście godzin w dużej ilości zimnej wody. Starać się wybierać same mleczaiki. Osączyć z wody, obetrzeć ścierką lub bibułą, potrzymać godzin parę na powietrzu, aby obeschły. Zawinąć każdy lekko w papier gazetowy lub bibułę, zawiązać sznurkiem i wieszać za te sznurki na długim kijku, uważając, aby wisiały równo, gdyż krzywo uwędzone, już się nie dadzą odprostować. Kij ze śledziami powiesić w wędzarni lub kominie i wędzić przez godzin 6 do 8-ju w zimnym dymie. Kto chce, aby śledzie przy wędzeniu jednocześnie się upiekły, jak wędzone ryby, niech je wędzi krócej, dwie do trzech godzin, w gorącym dymie. Po uwędzeniu i ostudzeniu papiery się zdejmują, a śledzie składa do pudełka, wyłożonego szczelnie pergaminem, aby nie uschły i zapachu dymku nie utraciły.

### SZTUKA MIĘSA Z DZIKA

Można tak przygotować pieczeń, łopatkę, lub schab z bardzo młodej sztuki. Zbić mocno drewnianym

wałkiem, zdjąć skórę, wymoczyć przez noc w zimnej wodzie, osuszyć płótnem, posolić. Włożyć do rondla, zalać kwaterką wina (może być owocowe), kwaterką octu i półlitrem wody. Włożyć listka pieprzu, ziela, dwa goździki, cebulę, garstkę jagód jałowcowych; przykryć pokrywą, zagotować na silnym ogniu. Pokrywę zdjąć, dusić dalej na wolnym ogniu, często obracając. Usmażyć w dużej łyżce masła tyleż tartej bułeczki, dodać trzydzieści deka dobrych, śliwkowych powideł, dodać cukru do smaku, nieco utłuczonego cynamonu z goździkami, zagotować, rozprowadzić smakiem z wieprzowiny, który powinien się być wydusić do dwóch szklanek. Sztukę mięsa pokrajaną ułożyć na półmisku, obłożyć kuskami kartoflanymi, lub odgotowanym włoskim makaronem.

Mięso polać połową sosu, drugą połowę podać w sosjerce.

### KWAS JABŁECZNY

Kiedy używamy duże ilości jabłek na jakąś marmeladę, kompoty, w większych ilościach przyrządzane, ciastka z jabłkami, szarlotki i t. p., pozostają łupinki, w których się mieści cały aromat jabłek i prawie wszystkie, tak teraz polecane przy odżywianiu się, witaminy. Jeśli więc jabłka dobre były i łupinki nie są plamiste i nadpsute, można z nich zrobić doskonały kwas, łatwy i niekosztowny. Łupinki opłókać w paru wodach, zalać zimną wodą, ugotować, ostudzić, odcedzić przez gęste sito lub worek od syropu. Na dziesięć butelek (sześć litrów) tego płynu dodać dwie szklanki cukru i jedno deka drożdży. Do suchych, czystych butelek wrzucić po dwa rodzynki sułtańskie, lub po trzy ziarenka surowego ryżu, nalać płyn jabłeczny, dobrze zakorkować, korki odrutować, lub zawiązać mocnym szpagatem. Dobę trzymać w kuchni, lub w ciepłym pokoju, potem wynieść do piwnicy. Po tygodniu jest najsmaczniejszy do picia. Ostrożnie otwierać butelki, gdyż mocno musuje.

Pani Elżbieta.

### „Jak kupuje dobra gospodyni“

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO  
ROBIENIA ZAKUPÓW

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.  
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

### LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom. „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Różne higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40.  
Druk. Zobl. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Remberska 8 tel. 244-18.